



ROK LVIII

# PRZEMYSŁ LUDOWY

NR 46

WARSZAWA, 14 LISTOPADA 1925 ROKU.

TREŚĆ NUMERU: Przemysł ludowy—*J. Or.* O kwesty publiczne—*C. Walewska.* Kartka z dziejów katolicyzmu w Rosji w pierwszej połowie XIX wieku (c. d.)—*R. M. Blüth.* Świat kobiecy (c. d.)—*Marja Grossek-Korycka.* W kraju pracy—*Helena Boguszewska.* Zdrada (nowela)—*Włodysław Rymkiewicz.* Pan w futrze (nowela)—*Hanna Skarbek.* Piękna Pamela (c. d.)—*Karolina Bielańska.* Nic ważnego—*Marja Kuncewiczowa.* Kobieta w świecie i w domu—*Z. B.* Na marginesach życia—*Andrea.* 10-ciolecie kursów dla dorosłych—*Józefa Gożyńska.* Dział praktyczny: Mody i roboty. Eleganckie uczesanie. Miraże—*W. D.* Przejście kobiety w jeśień życia—*W. W. S.* Prasowanie bielizny—*J. S.* Jeszcze o suszeniu owoców—*Pani Elżbieta.* Przepisy gospodarskie—*Pani Elżbieta.* Dobre Rady. Korespondencje działu praktycznego. Dodatek powieściowy: „Naja Tripudians” (c. d.)—*Annie Vivanti* (przeł. z włoskiego Tadeusz Jakubowicz). ARKUSZ WZORÓW.

## PRZEMYSŁ LUDOWY



W epokach kryzysów gospodarczych niejednokrotnie pomaga przetrwać czas najtrudniejszy ucieczka do tradycyjnych form wytwórczości: do przemysłu ludowego. Przemysł ludowy wymaga niewątpliwie najmniejszego nakładu: nie potrzebuje skomplikowanych i kosztownych maszyn, wyzyskuje własny przevažnie surowiec, którego wartość podwaja przez włożony weń kapitał pracy, i do tego pracy najtańszej, gdyż dodatkowej pracy zimowej rolnika w jego własnym pomieszczeniu.

Wszystko to powinno wpłynąć na taniość wyrobu, produkowanego dla użytku własnego, lub niedalekiej okolicy. Z ową taniością wielki przemysł fabryczny może konkurować tylko w osobliwie pomyślnych warunkach, przy normalnych warunkach kredytu transportu i dobrej organizacji pracy.

Na polu przemysłu ludowego kobieta ma piękne za sobą tradycje, już to jako organizatorka warsztatów, jako instruktorka i krzewicielka oświaty zawodowej, już to jako wytwórczyni.

Najpotężniej rozwiniętą gałęzią przemysłu ludowego jest tkactwo, tradycyjnie uprawiane przez kobiety. Podhale, Białostockie, Lubelskie, Huculszczyzna, oraz województwa wschodnie niemal na całym swym obszarze zadawałają się płótnem domowego wyrobu. Wyrób przeważnie jest bardzo prymityw-

ny, niewątpliwie wyżej w niektórych dzielnicach stoi tkactwo wełniane, które oprócz pasiaków, wełniaków i samodziałów wszelkiego rodzaju o charakterze wybitnie etnicznym, wytwarza nieraz piękne sukna domowe, niesłychanie trwałe, wprost nie do zdarcia. Tego rodzaju sukna wyrabia panna Mohłówna w Wileńszczyźnie oraz działaczki na polu przemysłu domowego w Poznańskim.

Widziałam również dobre sukna domowe, tkane po dworach i chatkach w nadgranicznych starostwach kresów Wschodnich.

Czyż trzeba zresztą mnożyć przykłady? Kobieta w przemyśle ludowym odgrywa rolę bardzo poważną, jeśli nie dominującą jak w tkactwie lnianem, wełnianem, w kilimkarstwie, hafciarstwie, nie mówiąc już o przemysłach spożywczych, bardziej jeszcze z gospodarstwem domowym związanych.

Na swoją rękę, nieraz bardzo prymitywnie, wiejska gospodyni pragnie wyzyskać, przynajmniej na swoje potrzeby, te surowce, które w takiej ilości i tak po barbarzyńsku marnują się u nas, jak owoce, jagody, grzyby, zioła lecznicze, odpadki zwierzęce, jak to skórki zajęcze, włosie, pierze i t. p. Umiejętna propaganda właściwego gromadzenia tych surowców i ich konserwowania przysporzyłaby krajowi znaczne bogactwa, zarówno do miejscowego prze-robu, jak do eksportu, gdyż pomimo skupu przez pośredników, marnują się u nas nieprzebrane ilości



tych materiałów, wskutek lekceważenia ich wartości przez gospodarzy i braku umiejętności odpowiedniego ich preparowania.

Otwiera się tu pole działania zarówno dla gospodyń wiejskich, jak i kobiet z inteligencji, które powinny się tą sprawą zainteresować w charakterze propagatorek przemysłu ludowego i związanych z nim przemysłów rolnych.

Fachową stronę tej propagandy powinien ująć w swe ręce Komitet Przemysłu Ludowego przy Min. Przemysłu i Handlu, który jest w styczności z fachowcami, pracującymi przy Towarzystwach Popierania Przem. Ludowego.

Kobiety dbały o dobro gospodarstwa krajowego, zarówno ziemianki, jak nauczycielki szkół wiejskich, powinny się tą sprawą zainteresować. Doświadczenie wykazało, że niejednokrotnie już kobiety były gorliwymi krzewicielkami tego rodzaju zatrudnień. W okresie powstawania Tow. Popierania przemysłu Ludowego w Warszawie Koła ziemianek były tym właśnie łącznikiem Towarzystwa z prowincją. Bardzo czynny udział brały kobiety w działalności Ligi Pomocy Przemysłowej w Małopolsce. Jakie rozmiary zakresiła praca kobiet nad przemysłem domowym w Małopolsce wykazuje broszura P. Dudrewiczowej „O przemyśle kobiecym w Galicji.”

Nawet Narodowa Organizacja Kobiet przejęta głównie propagandą polityczną i pracą oświatową interesuje się również przemysłem ludowym. Należałoby wskrzesić te tradycje, dać im aktualne zabarwienie. Mamy nadzieję, że sprawą tą zainteresują się nie tylko organizacje kobiece, rezydujące po

miastach, które mogą wziąć w swe ręce inicjatywę tego rodzaju propagandy, ale i nasze czytelniczki z prowincji, ziemianki i nauczycielki szkół wiejskich, które u siebie na miejscu zapoczątkują akcję, nie czekając na najpiękniejsze teoretyczne kampanie przyszłości.

Chodzi o to, żeby nie marnować czasu zimowego, a rozwinąć szeroką propagandę przemysłu ludowego zwłaszcza w tych stronach, gdzie przemysł ten chyli się ku upadkowi, i gdzie już posiada pewne tradycje, które łatwiej wskrzesić, niż zapoczątkować. W jaki sposób akcję należy rozwinąć i zorganizować pouczy broszura „Organizacja Przemysłu ludowego”, Józefa Stokłosa, wydana przez Komitet Przemysłu Ludowego. Prócz ogólnego planu zamierzeń w tym zakresie, zawiera ona statuty wzorowe różnych organizacji, między innymi spółdzielni wytwórczych i wskazuje sposoby ich zakładania.

Instruktorów fachowych i informacji dostarczają narazie Towarzystwa przemysłu ludowego, zanim powstanie projektowany Wydział Instruktorów, przy tworzącej się wspólnej, centralnej Reprezentacji tych towarzystw. Pierwszym i najistotniejszym celem przemysłu domowego jest zazwyczaj zaspokojenie potrzeb własnych, co w okresie o tak skrępowanym obiegu gotówki, jest rzeczą nie do pogardzenia. W jaki sposób organizuje się zbyt dalszy, uczy wspomniana wyżej broszura. Nie od rzeczy jest zaznaczyć, że pierwszą akcją Komitetu będzie poparcie wielkich spółdzielni bazarów przemysłu ludowego. Obecnie powstały już takie bazy w Wilnie i na Pomorzu.

J. Or.

## O KWESTY PUBLICZNE

Prasa nasza od lat kilku już walczy zjawisko z jałmużnictwem ulicznym—kwestami, zbiórkami, sprzedażą znaczków, chorągiewek, kwiatków. W ostatnich czasach bezkrawne te zapasy doszły do zenitu. Podjęło je przedewszystkiem z hukiem trąb jerichońskich parę brukowych pisemek.

Na nieobliczalne ich ataki trudno odpowiadać—trzeba byłoby trwać w stanie ciągłej defensywy.

Ale—coraz częściej niestety, zabierają głos, mogący podważyć byt niejednej pożytecznej instytucji, dzienniki zawsze niezmiennie życzliwe wszelkim poczynaniom społecznym i dopomagające swem orędownictwem.

W jednym z takich poważnych i uspołecznionych organów pojawił się niedawno artykuł p. t. „Żebrałnina”, którego autor nie ma dosyć słów potępienia dla tej „plagi dot-

kliwej”, dla tego „obrzydliwego, szkodliwego i w najwyższym stopniu antyspołecznego procederu”, noszącego miano kwest publicznych.

„Mierzi on”—według niego prościu i wzbudza ohydę.

Przypomnijmy sobie zachwyty i uniesienia z przed jakichś piętnastu czy dwudziestu lat, gdy po raz pierwszy przyszedł do nas z zagranicy ten rodzaj zbierania składek na instytucje filantropijne.

„Najdemokratyczniejszy, najracjonalniejszy sposób karoty, bo nie obciąża nikogo, a pozwala wszystkim popierać dobre sprawy.”

Tak mówiliśmy i pisaliśmy, tak cieszyliśmy się wówczas, a nie było ilustracji, któraby nie umieszczała skwapliwie migawkowych zdjęć kwesty—dam, przypinających z wdziękiem i finezją kokardki, kwiatki, znaczki uśmiechniętym przechodniom.

Wracały z ulicy wory, pełne groszy. Kwitły instytucje. Miały być zabezpieczone różne przytułki i bursy, schroniska, sale zajęć.

Pierwsze lata wojny wzmogły ten rodzaj jałmużnictwa. Kwestowało się na szpitala dla żołnierzy, na rozległe potrzeby Czerwonego i Białego Krzyża, na herbaciarnie, gospody, czołówki, biblioteki, na ciepłą odzież dla wojska. Kwestowało się bez przerwy—z rana, wieczorem, w południe. Nikt nie odmawiał. Każdy z największym pośpiechem rzucał marki, fenigi, aby chociaż w ten bardzo wygodny sposób zaspokoić obywatelskie swoje sumienie w sprawie opieki nad żołnierzem.

Wraz z powstaniem wolnej Polski opanował najczynniejszych, najruchliwszych kwestarzy jakiś mraz zaraźliwy.



„Państwo powinno myśleć o potrzebach wojska i innych związanych z wynikami wojny koniecznościach”. Szło to z ust do ust, aż stało się tezą powszechną.

Póki trwała inflacja i sypały się marki,—mogli odpoczywać kwestarze. Państwo dawało na wszystko.

Naraz grom. Uzdrawianie budżetu, najwyższa oszczędność—wstrzymanie zasiłków. Czyn społeczny niech oprze się sam na sobie.

Co mają począć niezliczone ofiary katastrof wojennych—uchodźcy, nagle z salonów na bruk wyrzuceni nędzarze, bezdomni, półnędzy, głodni? Co mają robić sieroty, zwiezione z Rosji, których rodzice pomierali w drodze, lub padli pod murem od salw bolszewickich? A co inwalidzi—oślepli, ogłuchli w bojach, pozbawieni rąk, nóg możliwości pracy.

Jeżeli czasu niewoli społeczeństwo dźwigało samo, własnymi siłami, zatajone szkoły i przytułki, schroniska, sale zajęć, które były również placówkami narodowego uświadczenia,—to po wyzwoleniu Polski nie jest w stanie podołać samo wszystkim zadaniom. Lawina potrzeb pędzi z takim żywiołowym naporem, że — zdaje się — rozwalą twierdze nasze obronne.

Uporamy się, jak możemy.

Powstała cywilna „Latarnia” i zakonne „T-wo opieki nad ociemniałymi”. Powstało T-wo walki przeciwgazowej i Liga obrony powietrznej, Liga żegluga. Powstały obozy wyszkolenia wojennego młodzieży męskiej i żeńskiej. Powstała niezliczona ilość organizacji, związanych z zadaniami armji polskiej, a równocześnie mnożą się przytułki, schroniska, baraki dla bezdomnych, internaty, bursy, świetlice, wypożyczalnie książek i pomocy szkolnych dla uczącej się młodzieży, żłobki, Krople mleka dla niemowląt, Poradnie dla matek i t. p.

Część tych instytucyj otrzymuje dotychczas jeszcze zapomogi rządowe, ale tak uszczuplone, że starczą na zaspokojenie jednej czwartej potrzeb. Zapewnia im również pewien fundusz doraźny dwa razy do roku loterja dobroczynna—pomysł i dzieło dyrektora Jeneralnej Dyrekcji Loterii Państwowej, który w tych niesłychanie ciężkich czasach wziął na swe barki brzemię twarde, ale błogosławione.

Daje trochę zasiłków i magistrat. Ale to wszystko w maleńkiej części zaledwie przyczynia się do podtrzymania dobroczynności publicznej.

Wrócono więc do „plagi kwest i zbiorów”.

Dla organizacji o charakterze oświatowo-kulturalnym, które ze

strony rządu nie mają żadnej pomocy, stanowią one jedyny punkt oparcia.

Stawiam jako przykład T-wo zawodowego kształcenia kobiet, które możność kilkunastoletniego swego istnienia zawdzięczało dotychczas tylko kwestom publicznym.

Aż po lata ostatnie starczyły one w zupełności na utrzymanie T-wa, t. j. na opłacanie wpisów za uczennice różnych szkół zawodowych, dostarczanie najbiedniejszym pomocy szkolnych, chorym—opieki lekarskiej, i wywczasów na kolonjach letnich.

Od roku już zaczęły kurczyć się plony kwest, a równocześnie z tem trzeba było ograniczyć działalność Towarzystwa.

W roku bieżącym naganka prasy zrobiła swoje. Mimo szalonego wysiłku kwestarek — przeważnie byłych stypendystek T-wa i kilku pań dobrej woli — sprzedaż tradycyjnej „kokardki lila” przyniosła zaledwie tysiąc złotych. Starczyło to na pokrycie  $\frac{1}{5}$  potrzeb instytucji.

Komu odmówić pomocy? Czy sierotom, które — skończywszy szkoły powszechne — mają zapewnioną nadal bursę o tyle tylko, o ile mogą ucząć się jeszcze? Inaczej — zostaną na bruku — nieletnie, nie mające żadnego fachu w ręku.

Czy tym, które — dzięki T-wo kończą seminarja dla nauczycielek ludowych i za rok, dwa lata mogą stanąć o własnych siłach? Czy zdolnym szwaczkom, którym brak tylko nauki kroju, aby mogły dojść do doskonałości w tym zawodzie.

Setki kobiet uchroniło T-wo od nędzy bezrobocia, walcząc z dyletantyzmem, tą prawdziwą plagą społeczeństwa naszego, zmniejszając armję nieszczęśliwych popychadeł, które idą do byle jakiej roboty, aby nie zginąć z głodu, aż wreszcie staczają się w przepaść nierządu.



Co ma począć taka instytucja, która żyła tylko z kwest, bo liczba członków jej maleje wraz ze spadającym kursem złotego.

Publicyści, atakujący „zebranine publiczną”, radzą zastanowić się nad innymi sposobami finansowania swoich potrzeb.

Jakimi?

Przed wojną modne były podwieczorki w cukierniach. Kilkanaście pań, bardzo ustosunkowanych, zmieniając się co parę godzin, zapraszało znajomych swoich w oznaczonym terminie do jednej z najgłośniejszych firm cukierniczych w danej dzielnicy. Goście stawiali się, zjadali masę ciastek, wypijali parę czarnych i białych kaw, rzucali przy płaceniu rachunku jakiś drobny naddatek.

Kto zarabiał na tem najwięcej? Oczywiście właściciel „słodkiego przedsiębiorstwa”. Goście pań dobroczynnych jęczeli na niestrawność, a instytucja otrzymywała jakieś 5 do 10 procent od czystego dochodu.

Koncerty—po opłaceniu sali, artystów, po wepchnięciu biletów zawsze jednym i tym samym ofiarom karoty—zostawiają w najlepszym razie jakieś sto do dwustu złotych czystego zysku, a najczęściej — niedobór, pokrywany z kieszeni członków zarządu, zziających, pół żywych po urządzeniu takiej kulturalnej imprezy.

Odczyty?

Najgłośniejszy, najpopularniejszy problem, wypełni salę trzy, cztery razy najwyżej. Mogą „zrobić na nim interes”, podzieliwszy się nawet połową dochodu ci, co pierwsi go zdobyli. Reszta — niechybnie dopłaci.

Zakupywanie przedstawień teatralnych też jest mocnem ryzykiem i wymaga niesłychanie rozległych znajomości, żeby poszły bilety.

Kilka stowarzyszeń, założywszy zbiorowy protest przeciw nagankom prasy na kwesty uliczne, — przedstawiło swoje własne wysiłki w kierunku samowystarczalności.

I tak — T-wo Ochrony Kobiet (Czackiego 10) założyło wyrób czapek i pantofli sukiennych.

Latarnia (ociemniał) dostarcza prac koszykarskich, szcztokarskich, trykotarskich (Szpitalna 6 m. 6). „Domy zarobkowe” mają na zbyciu po cenach niższych, niż ogólne, różne przedmioty domowego użytku, jak stołki, taburety, bieliznę, obuwie, szcztoki i t. p. „Przystań” i różne szwalnie — przytułki, szyją, cerują, reperują bieliznę i inne części ubrania na bardzo przystępnych warunkach. Wszystkie te in-



stytucje błagają o robotę, przy obecnym zastoju bowiem nikt nie kupuje, nikt nie zamawia i—mimo największych wysiłków—trzeba dokładać do wszystkich przedsięwzięć, związanych z podażą i popytem.

Nie zawodzi prawie nigdy dochodowo jedno—dancing z jazz bandem.

No, ale na to trzeba mieć zdrowie i humor. Kto przeszło ćwierć wieku kwestował, nie tańcząc, temu trochę trudno zabrać się naraż do fox-trottowania.

Czy ogół nasz złorzeczyłby kwestom tak zawzięcie, gdyby nie sugestja prasy?

Mimo naganki, mimo urągania na tę „najobrzydliwszą, najwstrętniejszą plagę społeczną”, — jednak żadna zbiórka publiczna nie przyniosła dotąd deficytu.

Powie kwaśne słowo cierpliwym, pokornym kwestarkom, zamruczy pod nosem ze złości przechodzień, — ale rzuci grosik do puszeki.

A z grosików powstają dziesiątki, setki złotych.

Mówią o nadużyciach. Zapewne, zdarza się to w czasach nieobliczalnego, powojennego zepsucia, — ale przeważnie w zbiórkach wielkich instytucji, które—organizując kwesty—muszą je powierzać w wielu wypadkach mało znanym, a często nawet płatnym siłom. W akcji, obliczonej na szeroką skalę, niepodobna oprzeć się jedynie i wyłącznie na bardzo bliskich i najzupełniej odpowiedzialnych jednostkach.



Co innego mniejsze, czysto lokalne organizacje. Te powierzają jałmużnictwo publiczne tylko własnemu członkowi, lub ściśle z nim zespolonemu kwestarzowi. I wtedy nie może być mowy o nadużyciach. Co najwyżej — taki bardzo dla instytucji życzliwy jałmużnik czy jałmużniczka gorliwiej atakuje przechodnia, gwałtowniej przypina znaczek i prosi o grosze.

Ale nawet i wtedy daje tylko kto chce. O przymusie mowy być nie może.

Stali ofiarodawcy — to przechodzień w mocno wytartym szaraczku — drobny urzędnik, aplikant sądowy, nauczycielka z pliką zeszytów i książek w ręku. Pomyślą — jest ktoś jeszcze biedniejszy od nich i rzucają, co mają przy sobie.

Bezimienny datek właściciela Forda, Fiata lub lśniącej wypolerowanej paryskiej Limusiny — to przecież nonsens.

Jeżeli już otrzeć jakąś łzę, — to niech świat rozgrzmi fanfara dobrego uczynku.

C. Walewska.

R. M. B L Ū T H

## KARTKA Z DZIEJÓW KATOLICYZMU W ROSJI W PIERWSZEJ POŁOWIE XIX W.

(KSIĘŻNA ZINAIDA WOŁKOŃSKA)

### II.

#### PO NAWRÓCENIU.

Biografka Wołkońskiej sądzi, że jeszcze za bytności swej w Moskwie, księżna pisała pewne utwory pod wyraźnym wpływem ideologii katolickiej.

Być może...

Po swem nawróceniu wogóle pisała mało.

Pogłębienie życia musiało wywołać zwiększenie autokrytycyzmu: wdzięczne, dyletanckie utwory już nie wystarczały.

Na inne nie starczyłoby talentu—więc zaprzestała. Jeżeli pisze obecnie, to okolicznościowo (utwór poświęcony pożarowi pałacu petersburskiego 1836 r.). Ulubionym gatunkiem literackim są teraz listy z podróży, przeważnie dotyczące Włoch. Listy z podróży przesyła do kraju. Drukuje je baron Delwig w swych „Siewiernych cwietach“.

Zależy jej na tem, by nie zrywać kontaktu z kulturą swego kraju. Pod tym względem jest ona wyjątkiem może pośród konwertytów rosyjskich arystokratycznej sfery.

Nic niema w sobie ze snobizmem. Traktuje swój przyjazd do Rzymu, jako powrót do drugiej ojczyzny—do kraju lat dziecięcych.

Wyjeżdża jak udzielna księżna na Parnasie. Żegnana jest wier-

szami przez wszystkich poetów — swego „dworu“.

Piszą wiersze: Boratyński, Szewyrew, Pawłow<sup>1)</sup>.

Poezję są wyrazem tej samej myśli: wszyscy traktują wyjazd jako powrót do drugiej ojczyzny — do „krajiny lat dziecięcych“.

Najlepiej tę myśl wyraził kronikarz salonu Wołkońskiej — filozof lw. Kirejewskij.

Pisząc o „rosyjskich pisarkach” w 1833 r., tak na temat przyczyn wyjazdu księżnej do Włoch — rozmyśla: <sup>2)</sup>

„Włochy stały się drugą ojczyzną ks. Wołkońskiej. Zresztą, kto wie, może konieczność Włoch (pod oryginału) jest wspólnym nieubłaganym losem tych wszystkich, co żyli w takich warunkach jak ona, kto od najmłodszych lat poznał tę najcudowniejszą krainę—krainę Piękna, ten już może żyć nie potrafi poza Włochami.

<sup>1)</sup> M. F. Pawłow — to późniejszy mąż narzeczonej Mickiewicza—Karoliny Jaenisch (porów. „Narzeczeństwo moskiewskie Mickiewicza“.

<sup>2)</sup> lw. Kirejewskij: Soczinienja izd. Gerszenzona M 1911 t. II str. 70. Uderzyć musi fakt spotykany w biografjach wielu Rosjan — emigrujących z Rosji Rzym dla nich staje się jakimś przyciągającym punktem. Czaadajew, Peczerin, Lunin, Gogol z Rzymu piszą entuzjastyczne listy. Dla Czaadajewa i Gogola—Rzym staje się miejscem uzdrowienia, lecz ich z prostracji duchowej.



Lazur nieba włoskiego, powietrze napełnione słońcem i muzyką, język ludu pełen gracji i wdzięku; ziemia wreszcie usiana pomnikami wielkich wspomnień, pokryta arcydziełami architektury, wszystko to, dla duszy wydelikaczonej, popsutej przepychem sztuki i oświecenia — stać się musi nieprzepartym urokiem<sup>1</sup>.

Trzeba dopełnić ten estetyczny sąd Kirejewskiego. Dla nawróconej ks. Wołkońskiej Rzym stał się nie tylko siedliskiem estetycznego czaru — stał się także ziemią obiecaną, nowoodnalezioną Prawdą.

Wołkońska jedzie z ukochanym jednakim. Dorastającego młodzieńca nie chce wychowywać sama, co ważniejsza, nie chce narzucać mu niczego. Boi się wynarodowienia i dlatego zabiera ze sobą nauczyciela: jednego z „Moskiewskich filomatów“ — niezwykle zapowiadającego się uczonego, Szewyrewa<sup>2</sup>). Planuje także sprowadzenie drugiego profesora, też tego typu, serdecznego przyjaciela zmarłego Wenewitinowa-Rozalina.

Młodzi uczeni w ten sposób otrzymują możliwość dokończenia swych studiów. Szewyrew ponadto, jako zagrożony suchotami, dzięki pomocy Wołkońskiej, we Włoszech powraca do zdrowia.

Mniej więcej w tym samym czasie zagranicę wyjeżdżają i inni członkowie Salonu: bracia Kirejewscy<sup>3</sup>) (filozof Iwan i głośny zbieracz pieśni ludowych, słowianofil entuzjasta Piotr) i Sergiusz Sobolewski<sup>4</sup>).

Bracia Kirejewscy wyjechali do Monachjum — krainy „absolutu“ Schellinga, zatrzymali się tam dłużej. Przez przyjaciela swego, też chyba „członka rodziny“ poetę dyplomatę T. Tintzewa, weszli w osobisty kontakt z mistrzem Schellingem. I ich z Rzymu przywoływała do siebie ks. Wołkońska.

Jednym słowem — salon się przeniósł z Moskwy do Rzymu.

Pozostała jeszcze jedna postać, teraz po nawróceniu może najbliższa z grona moskiewskich gości... Adam Mickiewicz.

Wyjeżdżając, księżna planowała, że się z nim niebawem spotka na terenie willi Ferucci.

Mickiewicz nie dawał znaku życia. Wymijają się stale, (ot choćby w Weimarze).

Poeta nasz najprawdopodobniej nie chciał korzystać ze wspaniałomyślnego zaofiarcowania księżnej. Prosiła go poprostu, żeby w pałacu zamieszkał w charakterze gościa. W innej był sytuacji, niż tamci ziomkowie: oni byli zajęci wykształceniem syna, byli poprostu płatni, on był cudzoziemcem, człowiekiem wolnym. Do pedagogiki żadnej nie czuł inklinacji, miał dosyć Kowna, jako próby.

Zwleka z przyjazdem do Rzymu. Zresztą tyle ma do zobaczenia wileński prowincjał, Europę zwiedzający po raz pierwszy...

A księżna do Szymanowskiej listy gończe przysyła.

10 czerwca 1829 r. Szymanowska pisze do Mickiewicza:

„Księżna Zinaida do mnie pisała z Weimaru. Dla Pana tysiąc miłych przypomnień.

Oczekuje we Włoszech na Byrona Polskiego. W Weimarze była z Szewyrewem u Goethego. Przedstawiła mu jego entuzjastycznego tłumacza i komentatora”.

Goethe już dawniej o Szewyrewie słyszał. Dziękował mu za tłumaczenie z Fausta i wspominał o Szewyrewie w swych pamiętnikach.

Przy końcu 1829 r. księżna jest już w Rzymie u siebie.

Z Rzymu pisze list do uczonego rosyjskiego Guljanowa (przebywają-

cego w Dreźnie, którego Szymanowska poleca Mickiewiczowi). „Czytam twój list, miły Guljanowie — nie odgadniesz gdzie! Oto w domu mego ojca pod rodzinnym dachem; w tem schronisku wszystkiego co piękne; gdzie wzrosłam pod skrzydłami sztuki greckiej, włoskiej, egipskiej; gdzie wzrok młodzieńczy przywykał do form idealnych. Obrazy, starożytne brzozy, marmury — kochane to wszystko; to dla mnie rodzeństwo, przyjaciele; wszak składało się niegdyś na moją rodzinę w domu ojca”.

Białoziarska, nieubliżająca „mystyki“, „pietyzmu“, „kwietyzmu“ i innych rzeczy, na których się nie rozumie aż do komizmu, streszcza tylko dalszy ciąg tego listu. Zawierał się tam podobno opis jakiegoś snu proroczego. We śnie nad domem unosiła się aureola Ducha Świętego.

„Odnowioną“ przyjechała do domu rodzinnego.

Wkrótce, po przyjeździe księżnej willa zapełniła się gośćmi. Powracają artyści, literaci... Zaczynają być i inni ludzie: kapłani, zakonnicy i świeccy propagatorzy katolicy.

Szewyrew zabrał się do nauki ks. Aleksandra. Znalazł w pałacu obszerną bibliotekę rosyjską.

„Im bliżej poznajesz księżnę — pisał do brata Wenewitinowa — tym bardziej ją kochasz i szanujesz. Jej żywiołem jest Rzym. Posiada wrodzony instynkt Piękna i miłości dla sztuki.

O! gdyby od młodości pisała po rosyjsku. Zrozumieliby wtedy u nas, na czem polega subtelność i estetyka stylu. Stworzyłaby u nas prozę Châteaubriand’a”.

A w innym liście rozczuła się nad patriotyzmem księżnej:

„U księżnej Włosi śpiewali rosyjskie pieśni: wiesz przecież, że potrafi nakazać niemowom, by mówili”.

Myśli o Rosji stale. Chce się kulturze rosyjskiej przysłużyć. Piśsze projekt założenia „Estetycznego Muzeum w Moskwie”. Zmusza do współpracy zagranicznych przyjaciół: Thorvaldsena, Camacinniego. Projekt upada. Nie chciano przyjmować darów od „izwraszczonnoy w katoliczestwo” (c. d. n.)

<sup>2</sup>) „Przyjaciel Moskal” Szewyrew, zaliczony być musi do rzędu tych dość słabych ludzi, co nie utrzymali się na poziomie filomackim. Po powrocie do kraju zostaje profesorem uniwersytetu moskiewskiego. „Uwarowszczyzna” go demoralizuje. Jest później wraz z Pogodinem podporą rosyjskiego wstecznictwa i szowinizmu.

<sup>3</sup>) O Piotrze Kirejewskim pisał Gerszenzon „Obrazy przeszłości” M. 1912. P. w. Kirejewskij.

<sup>4</sup>) Sergiej Sobolewski — serdeczny druh Puszkina, jeden z bliskich ludzi Mickiewiczowi — to ciekawa postać pokolenia. Dowcipny, nieco cyniczny, był pod pokrywą hulaki — bogacza człowiekiem wyjątkowo dobrym. Zasłynął jako znany bibliograf i bibliofil. Był to Pietraszkiewicz „moskiewskich filomatów”. Kochany przez wszystkich za humor.





MARJA GROSSEK-KORYCKA

F E L J E T O N

## ŚWIAT KOBIECY

## CZĘŚĆ II.

24

## NOTATKI PSYCHOLOGICZNE

W każdej sprawie, gdzie tylko występuje, on i ona — kobieta bierze jego stronę.

Kojarzy się małżeństwo, zawsze: ona jest jego nie warta.

Ciągnęła go do siebie harpunem. Narzuciłam się tak nachalnie! (A okazuje się, że kilkakrotnie dała mu odkosza).

Jak się ten biedny chłopiec złąpał? — Czy to on tak mógłby się ożenić!!

On i ona są mniej więcej w jednym wieku — a niech Bóg broni jeszcze, jeśli ona jest od niego o pięć miesięcy starsza?!....

Mówi się wtedy: ona mogłaby być jego matką.

Jeśli ma lat dwadzieścia ośm, przyjaciółki znające ją „od dzieciństwa” ręczą za czterdziestkę oh' bien sonnée — trzydziestoletnia nie wykręci się od lat pięćdziesięciu.

Nosi postiche — wtenczas, gdy wszystkie go noszą — to znaczy, że jest łysa: głowa, jak kolano.

Ma krótki wzrok: wprawiła sobie szklane oko — a drugiemu zagraża czarna woda.

Nie ma rysów madonny, za to bardzo piękną budowę — ale jedna łydka jest gutaperkowa!.. bo cała noga od biodra uschnięta. W tem miejscu głowa przechyla się ku głowie i płynie do ucha szept jakichś rewelacji..., okropnych!

Tamtej dziadek był rzeźnikiem z Odrzywołu, a jeszcze innej naliczył siedmiu epileptyków, jedenastu suchotników i dziewięciu warjatów w rodzinie.

Oto dlaczego narzeczeństwa trzymane są pod takim sekretem!.. Niejedno już rozerwał dyskretny list anonimowy.

Jeżeli silną jej stroną jest wykształcenie — nie mówi się o tem wcale. — Zresztą: At!... coś tam ona słuchała... jakichś kursów... i p!.. po francusku... Jeżeli wykształcenie ma takie rozmiary, że się go obniżyć już nie udaje, to opowiada się cuda o jej niepraktyczności, niekobiecości, niechlujstwie etc. i t. d.

Tak niepokieszone są kobiety, gdy raz na tysiące razy mężczyzna nie robi na małżeństwie świetnej afery, gdy małżeństwo to nie jest beczelnym wyzyskiem ko-

biety, gdy kobieta wychodzi zamąż odpowiednio.

Ale gdy pięćdziesięcioletni mężczyzna, zmęczony życiem inwalida, lub zużyty rozpustnik, trawiony sekretami chorobami, tyle tylko, że ma trochę grosza, kupuje sobie świeżą, wonną różę, biedną dziewczynę, którą niepowodzenia wpędziły w stan depresji moralnej, pożądającej za wszelką cenę natychmiastowego spokoju... to nad nią lamentować, nad nią boleć kobiety nie będą. Nie uwezmą się jej perswadować: „czy to ty takiego męża możesz dostać!!”

Przeciwnie do niej się mówi z karcącym podniesieniem głowy „co ty sobie wyobrażasz; człowiek stateczny, który ci będzie wiernym, za którym niedostatku nie zaznasz, dla biednej dziewczyny to los!”

Niema też tak maluczkiego „tak upośledzonego” mężczyzny, któryby nie był „aż zanadto dobry” dla pierwszorzędnej kobiety. Obniżając wartość kobiety w stosunku do mężczyzny w każdym poszczególnym wypadku, kobiety obniżyły swoją cenę wogóle do tego stopnia, że kobieta jest po niczemu... jest za bezcen.

Najbardziej odrażający oszpecceniec, bez nosa, z zajączą wargą etc i t. d. nie ma żadnej trudności w ożenieniu się z kobietą przystojną i młodą. Ale niechże się ujawni w kobiecie najmniejszy defekt, już jest zbrakowaną, skazaną nieodwołalnie na staropanieństwo.

Małżeństwo źle z sobą żyje. Kto temu winien?

Naturalnie ona! zawsze ona!

— Bo ona tak się rozlała nie-możliwie!

— Była podobno bardzo ładna, gdy się z nią żenił.

— Bagatela! to znaczy, dwadzieścia pięć lat temu. — A miała przytem pięciorkę dzieci.

— Nic dziwnego zatem, że dziś już nie jest piękną. Ale i on chyba ze swoim wielkim brzuchem na krótkich nogach i z łysiną, jak księżyc...

— Ale on jest mężczyzną! Mężczyzna zawsze potrzebuje kobiety, któraby go mogła podniecić... to też on kategorycznie jej oświadczył, że żyć z nią nie będzie.

— Alboż on może żyć z takim dziwadłem.

Ani to się modnie ubierze, ani pójdzie między ludzi! Kina nie lubi, teatr ją nudzi, plażę uważa za nieprzyzwoitą.

Upodobań wulgarnych: wiecznie haruje w domu, gotuje, pierze, myje... A co rok, to prorok... Gdzież taka kobieta może przy sobie utrzymać męża.

To jest przemiły człowiek, który lubi żyć!.. a gust ma wytworny.

— Ciekawa rzecz, co by ten wytworny jegomość począł z inną żoną, o upodobaniach równie wytwornych, on, który ma na utrzymanie rodziny trzysta złotych miesięcznie!

— Tak to jest ideał! ale kwalifikujący się do panoptikum.

Dzięki Bogu takich kwok niema już na świecie. I on do niej nabrał wstrętu — rozwód już rozpoczęty — żeni się ze swoją sekretarką.

— Czyż ta kobieta jest w stanie go zrozumieć?

O czem on będzie z nią rozmawiać?!

— O ile wiem, skończyła seminarjum nauczycielskie — a on podobno w szkołach wcale nie był.

— Był! nie był! to nie ma żadnego znaczenia tam, gdzie jest genjusz wrodzony.

Już dziesięć lat, jak pracuje nad jakimś olbrzymiem, wiekopomnem dziełem!..

Ma to być coś nadzwyczajnego! podobno jakiś francuz, który to czytał...

— Po polsku?!

— Mniejsza o to, jak to tam było — dość że czytał i nie mógł wyjść z podziwu, że u nas w Polsce trafiają się takie umysły..

Więc taki człowiek musi mieć przecież kobietę, któraby mu odpowiadała chociażby przynajmniej kapitałem!..

Musi wyjechać do Paryża... Dość, że się rozwodzą.

— Biedna kobieta! tyle lat utrzymywała z pracy rąk własnych, założywszy magazyn mód, cały dom, dzieci i tego blagiera, megalomana!

„To święty człowiek! ten Kamiński! — to święty czło-



wiek"! wołały chórem wszystkie dygnitarki cukrowej fabryki w Ińcach.

— Całe życie ta kobieta w łóżku mu leży, wiecznie chora.

— To napewno więcej imaginacja i rozleniwienie... wie, że męża stać na liczną służbę... A żeby tak musiała?!

— Nigdy on nic z niej nie miał, ani żony, ani gospodyni, ani matki dzieciom. Doktorzy i wody napewno zabrały pół majątku.

"Zacności człowiek! święty człowiek." Z takim poświęceniem!.. Ktoby to chciał znosić?!

— Cóż na jego miejscu możnaby innego zrobić z chorą żoną? — zdaniem waszem: dać jej trutkę, czy wrzucić do stawu? — zniecierpliwił się wreszcie jakiś duch niezależny, ale głos pojedynczy znikł, jak kropla w morzu.

Był raz na Syberji urzędnik, który nie brał łapówek. Wprowadziło to ludność w takie zdumienie, że zaczęła oddawać mu cześć boską. Napróżno perswadował, że niebranie łapówek nie jest jeszcze wystarczającą kwalifikacją na bóstwo! Upartych nie przekonał, sam

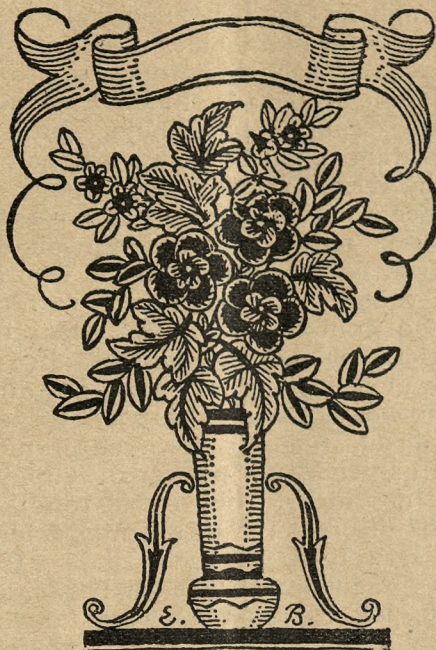
natomiast ulegając wszechwładnej sugestji środowiska, pewnego poranku wyskoczył z łóżka z okrzykiem: „ja Boh!” i zwarjował...

Tak samo uległ przemożnemu wpływowi otoczenia pan Kamiński, wziął do serca swoje nieszczęście, uwierzył w swoją świętość i chorą żonę traktował z najwyższą pogardą... Nigdy, przenigdy nie zwracał się

do niej z jednym słowem, a gdy musiał przez jej pokój przechodzić, odwracał głowę ostentacyjnie, aby jej niewidzieć.

Nieszczęśliwa męczennica, ileż się ona nad tem napłakała!

A chorą była przez niego — z jego winy — a wina ta była zbrodnią...



I ta — pamiętam — leżała w łóżku całe życie... Okolica bagnista, dwa gnijące stawy pod oknami, zarażały ją nieustającą malarją. Wystarczyło jej przenieść się w inną krainę: suchą, górzystą — mówili doktorzy — a zdrową byłaby, jak inni ludzie, mogłaby cieszyć się życiem!... Ale cóż?... tu, na tych bagnach mąż miał dobrą posadę — w czasach, gdy tak trudno było o nią polakowi. Dla dobrobytu rodziny matka jej z rezygnacją przyjmowała swój okropny los chorego, który nie wyzdrowiewa i nie umiera.

Niecierpiana za chorowitość przez męża — zdana na łaskę i niełaskę Marysi, jego faworyty — nielubiana, lekceważona, sądzona bardzo ostro i surowo przez otaczający ją świat małomiasteczkowych dygniterek. (c. d. n.)

HELENA BOGUSZEWSKA

## W KRAJU PRACY

3

### RINGSTED

Widziałam żebraka! Pierwszy raz w „duńskim kraju”. Grał sobie na harmonijce i niby to śpiewał, zupełnie tak jak u nas żebracy na odpustach, tylko raźnie i wesoło. Wyglądało to całkiem zwyczajnie. Niezwyczajnem jednak było to, że siedział w kosztownym, samo — poruszającym się wózku dla kalek, że był porządnie i czysto ubrany, że pił kawę z ciastem, którą mu przyniesiono na drugie śniadanie. Nie usiłował nikogo rozczulić swoją niedolą, był kaleką, nie mógł pracować, więc zarabiał w inny sposób — oto wszystko. Żebrania była jego zawodem, który sprawował pogodnie i z godnością — a sądząc z pozorów, powodziło mu się niezłe. Więc to tak wyglądają żebracy w Danji?

Rzecz działa się w miasteczku Ringsted. Przyjechaliśmy tu koleją z Kopenhagi na pokaz bydła i wystawę rolniczą z całej Zelandji.

Narodowe chorągiewki znaczyły całą drogę od dworca kolejowego, aż do ogromnego placu wystawy. U wejścia na wystawę ujrzałam tego właśnie żebraka.

Na rynku stał nieskończony sznur samochodów i ani jednej furmanki. Fermerzy z całej wyspy zjechali tu własnymi samochodami. Wogóle w Danji spotyka się bardzo mało koni, dopiero na wystawie przyjrzelśmy się dobrze jutlandzkim, ciężkim koniom — i innym lżejszym, t. zw. duńskiej rasy. Oglądaliśmy wspaniałe, czerwone, duńskie bydło, tłuste, lśniące. Nie w tem rzecz: u nas na wystawie rolniczej bydło i konie przedstawiają się niemniej wspaniale, bo wystawa jest po to, żeby pokazać, co się ma najlepszego. Chodzi o to, o ile ten materiał wystawowy odchyła się od tego, który można oglądać „na podomku”? W Danji chyba wcale. Te sztuki, które widzieliśmy w małych gospodarstwach

były może gorsze od wystawowych pod względem fachowym, ale zupełnie tak samo czyste, lśniące, tłuste, wypielęgnowane. Czyżby cała Danja była wystawą?

W Ringsted spotkaliśmy po raz pierwszy w Danji polskiego emigranta, robotnika rolnego z Małopolski, z żoną i córeczką, powodziło mu się doskonale. Mieli trzy pokoje z kuchnią, i 60 koron duńskich zarobku tygodniowo. Dziewczynka, już w Danji urodzona, chodziła do szkoły. Niby to tęsknili do kraju i mieliby ochotę powrócić, ale nie bardzo!

### SEMINARJUM Z SORÖ

Z Sorö mam chyba najmilsze wspomnienia. Tam było najładniej. Bo nietylko to, co ręka ludzka zdziałała, ale i sama przyroda: jeziora, wzgórza, lasy. We wszystkich, zwiedzanych dotąd miejscach ani jeden krajobraz nie zwrócił mojej uwagi. Okolice płaskie i monotone.



ne, mało lasów, żadnej, ale to żadnej rzeki. Ale tam, w Sorö, to naprawdę było ślicznie.

I ten gmach seminarjum tak ładnie położony, na wzgórzu, nad jeziorem, w pięknym parku pełnym starych drzew i kwiatów.

Gdyśmy wchodzili na podwórze przed gmachem, przed głównymi drzwiami właśnie stał autobus, ubrany zielenią. Wszystko, co żyło, wybiegło przed dom, żeby zegnać jakieś odjeżdżające panie. Były przeważnie niezbyt młode, i całkiem niemłode, w kapeluszach i płaszczach, z walizkami w rękę. Wsiadały, zęgały się, machały chusteczkami — znowu miałam wrażenie, że wygląda to, jak w teatrze.

Nadeszła przełożona, niemłoda, w staroświeckiej czarnej sukni i czerwonym szalu, miła i serdeczna, wyglądała tak jakoś „po polsku”, że aż dziw brał, że nie rozumie ani słowa. Objaśniła nas przez tłumacza, że te panie wyglądające jak inteligentki, to są żony miejskich robotników; odbyły tu tygodniowy kurs gospodarstwa domowego i obznajamiały się z życiem wiejskim, a teraz właśnie wracają do miasta.

Uczyły się przez ten tydzień gotować, prać, prasować, sprzątać, ozdabiać i pięknie utrzymywać mieszkanie, żeby w niem było ładnie i przyjemnie. Tak. Okazuje się, że to nie tylko wyglądało, jak w teatrze, ale istotnie było czemś, co u nas tylko w teatrze moglibyśmy oglądać. I to oczywiście w jakiejś skandynawskiej sztuce.

Po wyjeździe tych pań, oprowadzono nas po całym gmachu Seminarjum. Znowu śliczne sale wykładowe, gimnastyczne, świetlice, jadalnie, pracownie, pokoje dla uczennic i nauczycielek. Niewiarygodnie czyste kuchnie, gdzie uczennice uczyły się gotować na węglu, torfie, drzewie, gazie i elektryczności. Mechaniczne pralnie, poruszane elektrycznością, jakieś magle, jakby wielkie wyżymaczki, ogrzewane elektrycznością, które jednocześnie maglują i prasują. Laboratorium chemiczne do robienia analizy pokarmów, biblioteka, szwalnia, prasownia! słowem cudowne urządzenia. Ale nie to zajęło mnie

najwięcej. Przecież już wiem, że w Danji wszystkie urządzenia są cudowne.

Najciekawszą jest wewnętrzna organizacja szkoły. Uczennice dzieliły się na grupy po sześć. Każda taka grupa stanowi rodzinę, i dostaje własną kuchnię i jadalnię. Każda członkini grupy przez tydzień jest matką. Matka dostaje do rąk kwotę, odpowiadającą minimalnym zarobkom tygodniowym przeciętnego pracownika i musi tak tą sumą zarządzić, żeby swą gromadkę przez tydzień utrzymać. Sama więc kupuje zapasy, kombinuje, gotuje. Przytem odpowiedzialna jest za to, żeby reszta rodziny spełniała swe prace, o ile są to prace pozadomowe, matka musi domowników swych nakarmić i wyprawić w czas do roboty. Z funduszu tygodniowego wolno matce robić oszczędności — byle nie za wielkie! Boże, jak ci duńscy wszystko potrafią przewidzieć! Więc wolno jej oszczędzać, ale tylko do pewnych granic. Za oszczędzone pieniądze kupuje płótno, nici i robi różne robótki, „coś dla domu” np. ręczniki, ściereczki, serwety. Oczywiście zdaje z tego przed nauczycielką ścisły rachunek, jak i wogóle ze wszystkiego.

Po pewnym czasie, gdy już każda z członkiń nauczyła się być matką i zarządzać domem na małą skalę — ta skala się podnosi, to znaczy, że dochody tygodniowe powiększają się, z minimalnych stają się średnie. Rodzina dostaje na własność 6 kur i jedną świnię — może rozporządzać dochodami z tego dobytku. Chodząc po parku, odwiedziliśmy świnkę, należącą do jednej z rodzin. Mieszkała w czystym chlewku z ogródkiem, a na imię jej było Vitamina. W desce ogrodzenia wbity był gwóźdź, na którym wisiała szcztotka. Kto Vitaminę ową odwiedzał, musiał poczesać ją nieco, i szcztotkę znów na gwóźdź zawiesić. Nic dziwnego, że Vitamina wyglądała — a może jeszcze i do dziś dnia wygląda — jakby była obita twardym, rzadkim, lśniącem pluszem, i sama nadstawiała grzbietu. O Vitamino, Vitamino!

Dochody z Vitaminy i jajek idą oczywiście na utrzymanie i oszczędność całej rodziny.

Tak się dzieje na pierwszym kursie seminarjum. Na drugim kursie seminarzystki słuchają wykładów teoretycznych. Kurs nauk dla seminarzystek jest dwuletni. Oprócz tego dwuletniego kursu, jest jeszcze inny, pięciomiesięczny dla „nauczonych”, t.j. dla dziewcząt, które mają wychodzić za mąż, i chcą przedtem wprawić się w prowadzenie domu, nie mając zamiaru być nauczycielkami, jak seminarzystki. Istnieje też jednomyślny kurs dla „matek”, które uczą się tu higieny, i pielęgnowania małych dzieci — no, i ten tygodniowy kurs dla gospodyń miejskich, żon robotników.

Długo słuchałam, jak mi wyjaśniano tę zawiłą organizację. Dla nas jest to rzecz całkiem nowa. Jakto, więc tu tak zwane „prowadzenie domu” stanowi obiekt nauczania? U nas tę umiejętność zdobywają kobiety „same przez się”, to znaczy przez cały szereg błędów i omyłek, przez długie lata tarapat, kłopotów domowych, przykrości, niepowodzeń, aż gdzieś na starość już się wie, już się nareszcie doskonale wie, jak najlepiej można urządzić i zorganizować życie. Szkoda tylko, że tak późno,

Ale w Danji nic się nie robi „samo przez się”, wszystko jest celowe i obmyślane. Więc i sztukę życia starają się zdobyć na jego początku, a nie na schyłku, kosztem tegoż właśnie życia, zużytego na próby i doświadczenia.

Po zwiedzeniu wszystkich ogrodów owocowych, warzywnych, kwiatowych, po obejrzeniu rozsypanych w tych ogrodach, licznych budynków seminarjalnych, piliśmy wszyscy razem herbatę w szkolnej jadalni. A po herbacie duńskim obyczajem uściskaliśmy się wszyscy za ręce, łańcuchem opasując stół. I powiedzieliśmy „mange Tag” i „Favell” tym wszystkim miłym, dobrym i mądrym ludziom. Nigdy, nigdy nie zapomnę tych kilku godzin, spędzonych u nich w gościnie. A był to ostatni nasz dzień w Danji. Wróciliśmy do Kopenhagi na noc, a nazajutrz musieliśmy już powiedzieć „Favell” całej tej szczęśliwej i dobrej ziemi.





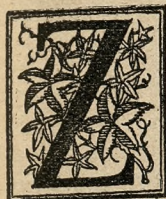
WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

Nowela odznaczona pierwszą nagrodą na konkursie Koła Polonistów Uniwersytetu Warszawskiego.

## Z D R A D A

(nowela)

2



Zatrzymali się na przeciwnej stronie cmentarza. Należało czekać. Przylepiona niemal do odrapanych z wapna cegieł, szczerzących czernione zębiska z wyszczerbionego węgla, wychylała co pewien czas ostrożnie głowę i obserwowała ich, ciekawa, co postanowią. Czuła się tu dobrze zakonspirowaną, więc już nie zważała na nic wokół siebie, a tylko dawała baczne oko na wycięte w grubej kurtynie nocy, niezgrabne, w oddaleniu kilkunastu kroków, sylwety mężczyzn.

— Lada chwila winien nadejść Ryś!

Oni czekali snąc cierpliwie na kogoś, bo dwu z nich przysiadło pod murem i wszyscy zaczęli palić papierosy, tlejące u końców czerwonymi ogienkami, dygocąc w powietrzu, jak krwawe sygnały alarmowe.

— Tutaj nakryjemy was wszystkich—myślała.—Miła niespodzianka dla takich drabów.

Wiatr czaił się na cmentarzu, schowany pod mogiłami, lub wiercił szeleszczące młynki w korowodzie zeschniętych liści; czasem zrywał się w podskokach, jak przerażony grymasem nocy brytan, i wiodąc za sobą, w podwiniętym ogonie, na pola tuman liści, ujadał, ujadał, nie wiedząc komu, potępiającem wyciem, na pohybel, na śmierć... Wracał, zmęczony, bez sił i wygrywał swoje, żałobne kancony w żyłowaniu czarnych, jak heban gałęzi. Urojone, efemeryczne mary niosły się z wiatrem na pierzastych skrzydłach chmur i nierozzerwalnym pierścieniem okrążały Sabinę, bliżej i bliżej.

— Przekłeta wyobraźnia!

Aby odwrócić myśl od złowieszczych fantazji, jęła liczyć żarzące się końce papierosów. Naliczyła dokładnie sześć.

— A dwaj pozostali? Wszak było ich ośmiu! — Struchlała.

— Może nie palą?

Ogarnęła wyczulonem, przerażeniem spojrzeniem sylwetki, majaczące we mgle: dwóch siedzi pod murem, czterech spaceruje.

— Sześciu! napewno sześciu!

Czuła występujący na ciele od stóp do głowy pot i zimne dotknięcia dreszczów, paraliżujących

ruchy. Spojrzała na szosę — o radości, we mgle porusza się niezdarnie, acz szybko, kilka sylwetek! Są jeszcze daleko, ale...

Usłyszała za sobą chrzęst depnanych liści.

— Stało się — pomyślała. Nie zdążyła się odwrócić, żelazne kleszcze ścisnęły jej ręce wyżej łokcia, a gorący, cuchnący alkoholem oddech pogłaskał białą szyję i ktoś zaśmiał się za jej plecami szyderczym, gardłowym, niskim śmiechem. Jaskrawy, rozdzierający krzyk kobiety przeszył, jak cięcie szabli, ciszę mgieł. Wtedy dwoje innych rąk założyło jej umiętnie szalik na usta. Poczula uwierający węzeł, spleciony mocno na ciemieniu.

Szarpała się beznadziejnie w obłym objęciu byczych ramion rzeźniczych, wyslizgiwała się jak ryba z sieci lepkich, spoconych rąk.

Stygnała z przerażenia, wzywała bezsilnem, tragicznem milczeniem pomocy.

.....

Kapitan Czółno spojrzeniem szukał oczu generała. Schowały się przeźornie za trójkątem siepiącego z pod zielonego klosza lampy światła. Tylko grube wargi pod prysznicem elektrycznych igieł mamlały mdłe słowa ubolewania.

— Panie generale!

Lewe mięsiste ucho obraca się dostojnie, a pożądlwie w kierunku mówiącego.

— Proszę mnie wysłać z wywiadem... upoważnienia... pomoc władz cywilnych... odnajdę!!

Wielka, obrzękła twarz odwraca się z uznaniem w stronę kapitana.

— Narzeczona... kobieta... panie generale!

Przytakujące spojrzenie bezbarwnych, wypłowiałych oczu. „Ja też byłem kiedyś kochany“ krzywi się w głupawym grymasie twarz generała.

— Jej familja?

— Wertówna... Sabina Wertówna!

Powykrzywane, artretyczne kołki palców szukają guzika elektrycznego dzwonka.

Niezdarna, gruba dłoń plami się jak wielka, żółta pluskwa na zielonem obiciu biurka. W prostokacie białych drzwi staje adjutant generała.

— Limmell! da pan kapitanowi potrzebne dokumenty. Oprócz tego auto, rozumie się...

Adjutant wypręga się z postawy „spocznij“, jak nakręcona kukła.

— Limmell! Nie odchodzić!

Pod fałdami byczego czoła preparuje się ciężko i powoli myśl generalska. Potrójny podbródek załamuje się na sztywnym kołnierzu munduru i ścieka różowymi płatami ciała na srebrne generalskie floreesy wyszycia. Sztywni, a pokorni subalterni czyhają łakomie na słowa generała, które mają olśnić warującą jak pies ciszę w gabinecie dygnitarza.

— Limmell — skrzeczy generał — o przybyciu kapitana zadepeszować do naszego konfidenta.

Usta adjutanta rozchylają się w milczeniu, a oczy mówią zamiast słów, które nie śmia niepotrzebnie...

— Nu! — pomaga generał.

— Panie generale, mamy podejrzenia; ten człowiek pracuje na dwie ręce... dla naszego referatu... i dla bolszewików.

— A! sobaka! Tak won z nim, aresztować!

Niespokojne, kłopotliwe sapanie buzuje chwilę w ciszy pokoju.

— Wot i co wydumał!

Generał w irytacji posługiwał się chętnie słownikiem rosyjskim, było to, zresztą, wtedy silniejsze od niego. Generał nie mógł jednocześnie panować nad nerwami i słownikiem wyrazów polskich.

— Na dwie ręce!.. sobaka!..

Znowu milczenie, zamknięte w trosce generała.

— Nu, panie kapitanie, a taki, trzeba uważać! Będzie pan płacił bolszewikom fałszywymi dokumentami za narzeczoną... jeśli się poznają na farbowanych lisach — propozycje... pokusy...

— Panie generale!

— Hum — mruczy generał.

Gruba ręka rozciera fałdy pomarszczonego czoła, a wyblakłe oczy napróżno starają się przeniknąć wiąz tkanek pod czaszką zbolełego narzeczonego.

— A ot, ja nie mogę „z nogami“ w duszę kapitana—irytuje się generał.

— Serce, nu, wiadomo, niebezpieczna rzecz! a u mnie... odpowiedzialność.

— Panie generale!! — oburza się Czółno.

— Nu, taki, dla mnie—słowo...

Kapitan skwapliwie chwytą wysuniętą rękę.



— ...oficerskie słowo honoru, że... że... nul..

— ...że nie splamię munduru żołnierza polskiego — kończy Czółno.

— Nul! — oddycha z zadowoleniem generał.

Adjutant, nieruchomy i namaszczony podczas ceremonji, opada, ściśle według regulaminu musztry na „spocznij“.

Łaskawy i niedbały ruch tłustej, białej dłoni.

Różowy i wymuskany adjutant zaprowadził kapitana do swej kancelarji. Pochylili głowy nad mapami i zygzakowatym błędzeniem palców po czerwonych i żółtych arkuszach szukali odcinków granicznych.

— Obie fałszywe? — szepce Czółno.

— Obie!

— A pieczęcie?

— To nie przeszkadza — uśmiecha się adjutant — pieczęcie położę panu oryginalne — to nawet powinno zmylić ich czujność.

— A jednak, jeśli poznają?..

Bezradne rozłożenie ramion i banalne, ubolewające spojrzenie adjutanta, który zdaje się mówić: „Aide-toi...“

— Dam kapitanowi jeszcze zapotrzebowanie na niektóre mate-

riały wojskowe... z przed trzech lat... i stare „ordre de bataille“.

Czółno ułożył starannie dokumenty w teczce. Uśmiechał się sceptycznie.

— Ano, trzeba będzie sobie radzić.

Adjutant zrobił się nadskakujący i słodki.

— Pańska energia... inteligencja... wyprowadzi pan w pole tych szubrawców. W tej chwili depeszuje. Nasz konfident będzie czekał na pana na dworcu.

Spojrzeni na zegarki. Była szósta.

— O północy! Zdaży pan?

— Dajcie mi dobre auto.

— Brylant! Sto kilometrów na godzinę! Życzę powodzenia.

Czółno zatrzymał się we drzwiach. Pytanie wisiało mu na ustach. Patrzył w okna, w twarz czarnej, nieodgadnionej nocy, przyzywającej go do siebie na obiecujący, wytrawny flirt. Adjutant, zmieniony w pytanie, przechylił na prawo głowę i czekał. Ckliwe uśmiech porcelanowej lalki wałęsał mu się na ustach i w szklwie bezmyślnych niebieskich oczu.

Czółno przebił go nawyłot pchnięciem zimnego spojrzenia.

— Panie poruczniku, właściwie, poco te ceregiele?..

— Nie rozumiem? — wycodził ostrożnie adjutant.

— Poco ta komedia?.. Dlaczego zamiast dać mi pluton żandarmerji, żebym mógł capnąć całą szajkę...

Adjutant uśmiechał się pobłaźliwie, z wyższością znawcy.

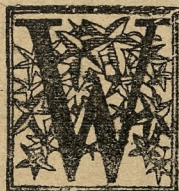
— Proszę łaskawie zrozumieć, że wszystko się dzieje na rubieży, dziś tu, jutro tam. Nie ręczę, czy pan dziś jeszcze nie będzie zagranicą, i to bez paszportu, prawda? voyons! — mówił drwiąco z wyszukaną kurtuazją — a oni sami, ho! ho! Zdobrze zakonspirowani. Nasi konfidenti nigdy nie wiedzą dokładnie o miejscu spotkania. Zresztą, przeważnie po tamtej stronie. Ponadto, ogromne poparcie placówek dyplomatycznych et caetera, et caetera!

Czółno odpowiedział na to wszystko pogardliwym grymasem. Przez źle oświetlone korytarze przeszedł na klatkę schodową i zszedł przed sień. Auto czekało na niego, hurgocąc nerwowo żelaznymi chrapami, niby głodny przestrzeni potwór. Pomknęli w złowrogą, czarną czeluść nocy, sygnalizowani na drodze przez ruchome, świetlne półkole promieni acetylenowych lamp. (c. d. n.)

H A N N A S K A R B E K

## PAN W FUTRZE

(nowela)



pokoju różowość aż biła do głowy. Kładła się mgiełką na oczy. Mąciła przezroczyście myśli.

Skrawki różowych wstążek narzucały się ze wszy-

stkich stron. Portjery o barwie poziomek denerwowały. Rozstrzępione róże kwitły na złotym polu dywanu. Głóg piał się, aż pod sufit po przez perłowe tło obić.

Różowość też lała się gorącym światłem z okrągłej, uczepionej u środka sufitu kuli. Nawet hiacynty, te najbanalniejsze różowe, wystrzeliwały z majolikowych doniczek.

I w Maji wzbierała powoli różowa, niepokojąca złość. Rozchodziła się wąziutkiemi pasemkami po całym cie. Denerwowała.

Od godziny bowiem stała pod zwierciadłem, unosząc wysoko obnażone ramiona. Milczała. Ciało wydawało się coraz bardziej zbliżone do barwy hiacyntów.

Błyskawicznie, wprawnymi ruchy zaczerwienionych palców manipulowała panna Fela dokoła stanika paniarki.

Mela zaś, klęcząc na dywanie, majstrowała coś u dołu sukni.

Łaskotliwe zimne dotyki palców panny Feli, gorący oddech młodszej, dyszącej na smukłe łodygi nóg, jaskrawo-różowa bania, odbijająca się w lustrze i dławiące powietrze buduaru, wyczerpały cierpliwość.

— Dosyć! ubiorę się sama, zostawcie mnie! — rzuciła panna opryskliwie i nagłym ruchem opuściła ramiona.

— Co takiego? — zdziwił się ktoś z głębi fotelu.

Nawpół przykryta negliżem postać damy uniosła się z godnością.

Krawcowa, jak to zwykle, przerażała się. Prawe swe, większe nieco oko, zawiesiła bez mrugnienia na ustach chlebobawczyń.

— Dosyć! Obrzydło mi! — powtórzyła córka.

— Co takiego? — Upudrowana twarz damy zaostrzyła się. Felu! Melu! — wykrzyknęła.

Panna wydeła pogardliwie wilgotne swe usta i knąbrnie rzuciła w tył głową.

— Nie cierpię... Nienawidzę różowego koloru! — powiedziała zciśzonym złością głosem.

Pokłute, biedne palce panny krawcowej drgnęły znowu przestraszone.

— Ostatni raz pozwalam robić różową suknię! Ostatni! Nie włożę jej nigdy. Podrę! — wolno, jakby się



rozkoszując nabrzmiałemi wściekłością słówkami cedziła Maja.

— Będziesz nosiła to, co ja ci wybiorę...

— Nienawidzę... aaj! — syknęła panna umyślnie w stronę pobladłej szwaczki, — nienawidzę.

Kogo i czego?

Wyniosłej, pięknej matki? Skulonej, brzydkiej Feli? — czy krótkiej, balowej sukienki?

— Radzę ci się uspokoić... Kolor różowy pobierał cerę. Uczesanie w lokach rozjaśniało włosy. Wyglądasz na podlotka i na blondynę — sęczył głos zimny, opanowany.

— Nie chcę właśnie wyglądać, jak podlotek! Chcę właśnie być zawsze i tylko szatynką!.. — Milczenie.

— Poproszę Ojca, aby pokój zaczął wytapetować według mego gustu!

Wyrzucę różowe karły i ohydne portjery. — Milczenie.

— Melu! abyś dziś jeszcze wyniosła stąd te bady! Niechaj ogrodnik dostarcza mi tylko białych! Rozumiesz? — ty! — Milczenie.

Przyspieszone oddechy nad ostatnimi wymęczonymi szwami.

Pokłute, podrapane, skostniałe palce. Gorąco. — Aż do lśniących kropelek potu, osiadłych na skroniach.

— Zresztą na bal ten nie pójde!! Natychmiast wszystko popsuje — wzbił się w atlasowym pudełku ostatni akord rozdrażnienia.

Wsiąkł w puszyste dywany i ciężkie portjery.

Tualeta została szczęśliwie ukończona.

Któraś z obecnych westchnęła z ulgą. Zbierano pośpiesznie galganki i szpilki z podłogi.

— Taki śliczny pokój! i taka cudna jedwabna sukienka! — szepotała pobożnie anemiczna panna Fela.

Na progu ktoś jeszcze marudził.

— Wynos mi się!! — różowa panna, która przecież potrafiła być czasem tak słodką — uderzyła złem słowem w służebną różwieśnicę.

Więc cisza. Różowa cisza.

\* \* \*

Maja została przy lustrze. Oparła dłonie o pozłacane ramy. Patrzyła z bliska na różową, uczesaną w podłużne loki lalkę. Lalka stała po drugiej stronie tremy. Lalka była niezwykajnie piękna. Akurat podobną, porcelanową „przywiózł kiedyś Puś z Paryża. Odchylała w tył główkę — wówczas na fioletowe oczka nasuwały się do połowy cięgie, o kłujących rzęsach powieki.“

Ot tak... Zupełnie, zadziwiająco tak samo. Maja z radosnem zdumieniem skonstatowała: ongi pragnęła być piękną lalką... Jest nią właśnie. Zupełnie taką, jaką być chciała.

— Bal się odbędzie w salonach rodziców Andrzeja. Za kilka dni wyjeżdża z matką do Rzymu. Hrabia Andrzej Sperreli... — szepnęła pieszczotliwie.

Ulotniła się naraz różowa, denerwująca złość. Znikła tak nagle, jak i zgaszona pod sufitem świetlana kula. Mniejsza lampka paliła się na stoliku.

Nie skakały w oczy, narzucające się głupie różyczki. Ani się słyszało spoconych, przyspieszonych oddechów. Pannienka rozpogodziła się. Usiadła. Z pod długiej falbany kanapki wyciągnęła brązową książkę. Schyliła się nad nią łakomie. Właśnie... hrabia Andrzej Sperreli niespodzianie został zaproszony do powozu księżnej Muti.....w przejeździe blask jednej z witryn sklepowych oświetlił wnętrze powozu... Helena uśmiechnięta tym zagadkowym uśmiechem zdjęła zgrabnym ruchem z szyi boa i zarzuciła je na szyję Andrzeja, niby uzdę. Powiedziała, że to zabawka. Ale tą uździenicą, przesiąkniętą perfumami, przyciągnęła ku sobie młodzieńca i bez jednego słowa podała mu usta do pocałunku („...“)

„Właśnie hrabia Andrzej Sperreli...“ gdy skocznie do buduaru wbiegła Mela. Dyskretnie wsunęła się panna Fela. I trzeba było tak otwarcie w obecności aż trzech kobiet obnażać się. Dlatego ta złość nagle, denerwująca zaczęła się skłębiać — i rozlewać po ciele. Panna odetchnęła głęboko.

Ujęła w dłonie kartę fascynującego romansu. Czytała wolno, wymawiając najdelikatniej gładkie, piękne słowa: „Andrzej wysiadł z powozu, cały drżący jeszcze, z oczyma przysłoniętymi mgłą odrętwienia... Wstępując na schody pałacu Zuccari, myślał: „nakoniec poczyni się więc nawracać! Pozostawał mu w głowie opar upojenia, na ustach smak pocałunku, w oczach błysk uśmiechu, z którym Helena zarzuciła mu na szyję ten rodzaj lśniącego i wonnego węża“ (\*\*).

\* \* \*

Nie słyszała skrzypnięcia otwieranych drzwi: Na środku dywanu na szeroko rozkwitłych różach ukazały się czarne, lśniące lakierki.

\*) Gabryel D'Annunzio „Dziecko rozkoszy“, str. 420.

\*\*) Gabryel D'Annunzio. „Dziecko rozkoszy“ str. 421.

Starszy pan przystanął. Spojrzał na zaczytane dziecko.

— Majo!

Zasnute mgłą rozmarzenia oczy dziewczyny, przesunęły się po całej postaci pana, aż do ukochanej twarzy.

Nie poznały jej na razie. Usta, zwilżone pośpiesznie uśmiechnęły się bezmyślnie.

— Gotowa lalczka? — zapytał ojciec i wyciągnął ramiona, tak samo, jak kiedyś, gdy małą lalkę unosił do góry.

— Jakiś ty piękny! czemu nie chcesz być takim — na codzień? — wyszeptała z egzaltacją, dotykając się ostrożnie wyłogów czarnego smokingu.

— Na codzień?... właśnie na codzień... praca i szare ubranie, aby w niem... Zawisła mu nagle u szyi. Potrząsała prędko lokami. Nic a nic nie chciała o tem wiedzieć. Całowała ojca leciutko w okolicach ucha i kołnierzyka. Łasiła się.

Mężczyzna o imponującej postawie w zmaganiu się z życiem zahartowany, w momentach najtreściwszych niezłomny — słabł nagle i malał wobec tego własnego w puchach i watach wychuchanego pisklęcia...

— Podobno... nie masz dzisiaj humoru — zdobył się na zapytanie, by swą powagę ojca ratować.

Niebieski cień przemknął po czołach panny.

— Przeszło już, — roześmiała się.

— Musisz Matkę przeprosić... stanowczo.

— Ach dobrze! dobrze!.. Ty jesteś taki kochany, czemu się chmurzysz? i taki pachnący! — pociągała noskiem z rozkoszą. Naraz, przejęta jakąś zachcianką — skoczyła. Porwała z toaletki pierwszy z brzegu kryształowy flakon. Krzywiąc się i wydając zarazem gardłowe jakieś jęki — wylewała prędko całą jego zawartość do doniczki znieawidzonego hiacyntu.

— Do-niu! — wykrzyknął starszy pan.

Lecz uczepiona jego ramienia, rozentuzjasmowana i promieniejąca, ciągnęła ojca w głąb mieszkania.

— Dasz mi swych perfum... tych... tych... — Dasz?... o Puśku! moje?... jakieś tam różane świństwa!.. o Puśku!..

Wkładała w to słowo tyle pieszczoty, tyle — na ile ją wogóle było stać.

— Musisz Matkę przeprosić, powinnaś... !

(c. d. n.)

\* \* \*



KAROLINA BIELAŃSKA

Z CYKLU: PROFILE ROMANTYCZNE

## PIĘKNA PAMELA

(LADY FITZGERALD)

1773 — 1831

21

„Pamela dorasta, trzeba łożyć na jej wychowanie; jestem w wielkim kłopotcie. Jeśli macie trochę litości nademną, przyslijcie mi te pieniądze.”

Lord Leinster odkupił potajemnie część skonfiskowanych dóbr Edwarda w Kilrush, dla dzieci jego. Nie było racji, aby najstarsza córeczka nie miała otrzymywać swojej części dochodu z tego majątku.

„Jeśli pan Ogilvie obawia się, że ja będę odkładać te pieniądze na posag dla córki pana Pitcairn, to mogę mu co rok przedkładać rachunki. Gdybym miała swój własny majątek, bądźcie pewni, że nie zażądałabym ani grosza i prosiłabym tylko aby to, co przypada na Pamelę, składać aż do jej pełnoletności. Dlaczego Henryk traktuje mnie jak dziecko? Jego dobroć zawsze szacowną mi będzie a tylko nie chcecie abym prosiła o co, lub może nawet przeproszała człowieka, którym pogardzam i którego postęпки wobec mnie, okropne były... Ale Boże mój! Czy tylko księżna nie gniewa się na mnie? Niestety! Jest to matka mego biednego Edwarda i nigdy kochać jej nie przestanę.”

Tymczasem, z wyjątkiem wiernej Zofji, rodzina Fitz Geraldów zaczęła powoli zapominać o oddalonej. Nawet Lucy milczała. Czas jakiś jeszcze trwała jej korespondencja z O'Connorem, więzionym w szkockiej fortecy St. George, jeszcze w r. 1802 pytał ją, czy „dobra Pamela” jest tak szczęśliwa, jak na to zasługuje? Ale wnet potem smutna sielanka młodości poszła w niepamięć: lady Lucy wyszła za mąż za admirała Foley. Artur, uwolniony w następstwie wymiany jeńców między Francją, a Anglią, wstąpił do wojska francuskiego. W przejeździe wstąpił do Hamburga, by zobaczyć Pamelę. Powitali się ze łzami. W sercu Mrs. Pitcairn zbudziła się gorąca tęsknota za przeszłością, tak różną od teraźniejszości, jak kwietne ogrody Szmaragdowej Wyspy, od pęsnego, wiecznie zabłoconego Hamburga. Znów stał jej w oczach On, nietylko bohater i „ukochany Anioł,” ale najmiłszy, szalony, przedobry człowiek. Jakże wielbiła jego wesołą lekkomyślność, żart na ustach, nawet w obliczu śmiertel-

nej grozy, „cnotę uśmiechniętą,” niepodobną do uroczystej, chmurnej cnoty teraźniejszego towarzysza życia.

„Zofjo, jestem bardzo nieszczęśliwa — skarży się w dzień urodzin starszej córeczki — dziewięć lat temu tak szczęśliwą byłam. Mój Edward! Wspomnienie dni ubiegłych serce mi rozdziera i radabym, aby śmierć położyła kres moim strapieniom. Chciałabym tylko zobaczyć jeszcze moje biedne, kochane dzieci, od których jestem tak daleko. Zofjo! Jakaż bolesna myśl nasuwa mi się, gdybym zobaczyła je teraz, możebym ich nie poznała nawet!”

\* \* \*

Wojny napoleońskie zamącały świat cały, długi czas wszelka komunikacja między Anglią a Hamburgiem była przerwana: „Smutne morze podwaja moje smutki” — pisała Pamela. Dopiero w r. 1806 w chwili pokoju między jedną, a drugą wojną, dobra Zofja zaprosiła bratową do swego domku w Thames Ditton.

Uzyskawszy, nie bez trudu, pozwolenie męża na wyjazd, Pamela pożegnała swą młodszą córeczkę, Helenkę, pozostającą na opiece siostry męża (Fitz Geraldowie nie zaprosili małej miss Pitcairn) i wyjechała ze swoją Pam, a wyjeżdżała z Hamburga z niemniej szym ponoć uczuciem ulgi, jak jej przyjaciel O'Connor ze swojej szkockiej fortecy.

\* \* \*

Miss Frances Waddington, która dnia 22 czerwca 1806 roku znajdowała się w mieszkaniu sędziwej już lady Sary Napier, tak pisała do swojej rodziny.

„Muszę wam opowiedzieć, że widziałam osobę tak zachwycającą, iż trudno wdzięk jej słowami opisać. Jest to Francuzka, Pamela, córka i wychowanka pani de Genlis, wdowa po Edwardzie Fitz Gerald, która wyszła po raz drugi za amerykańskiego kupca. Gdyśmy byli wieczorem u lady Sary, wbiegła szybko, jej ciemne oczy błyszczały — nie wygląda na więcej, jak dwadzieścia pięć lat. — Miała suknię z indjany białej w czarny deseń z krótkimi rękawami, na

głowie czapeczkę, jaką noszą studenci, z krepki czarnej i dżetu, którą zdjęła wchodząc.

„Nie używa wcale różu i śmieje się z pięknej księżny de Rutland, która jest strasznie umalowana: Jak zostanę babką — powiada — pragnę móc ucałować moje wnuczeta, bez obawy, że im noski powalam różem.”

Pamela myślała już o wnukach, a Eddy, najstarsze jej dziecko, miał dopiero dwanaście lat. Ale ściskając radośnie swoją śliczną trójkę, zaczynała, po raz pierwszy od wielu lat, marzyć o przyszłości. Te dzieci, które jej prawie nie znały, przylgnęły natychmiast do niej była taka śliczna i taka zabawna. A one chowały się w domach smutnych. Ani babunia, która przecież psuła pieśczętami wnuka, ani obowiązkowa i troskliwa Zofja, nie dały dzieciom tego, co wniosła Pamela. Talent zabawiania młodziży odziedziczyła snąc po swojej matce. Były to śliczne komedyjki, gry zabawne, przebieranie się. Aby mieć złudzenie domu, Mistress Pitcairn wynajmuje w hotelu londyńskim apartament. Gospodarzem tego pensjonatu jest dawny kucharz księcia Orleańskiego! Z równą niefrasobliwością, jak niegdyś jej opiekunka, żyje dniem dzisiejszym. Uważa, że wydatki, które czyni, są niezbędne. Musi przecież wziąć nauczycielkę angielskiego dla Pammy, a z drugiej strony trzeba nauczyć małą Lucy po francusku. Musi umieścić w najlepszym gimnazjum Edwardka: babka psuje pieśczęta a pan Ogilvie skąpi na jego wykształcenie.

Istota, nie umiejąca zaoszczędzić, gardząca zawsze groszem, zapragnęła nagle i namiętnie własnego majątku, finansowej niezależności.

Dawne dzieje powstały w jej pamięci. Wszak miała prawo do renty, zapisanej jej przez Filipa Egalité. Podczas zawieruchy rewolucyjnej legat ten można było uważać za przepadły, ale teraz Napoleon przywołał z wygnania księżnę Orleańską i kazał jej wypłacić wysoką rentę, udzielił również pensji pani de Genlis, dlaczegożby cesarz, którego podziwiała i w którego moc wierzyła, nie miał i jej sprawiedliwości wymierzyć? I zaraz bujna wyobraźnia stawiała jej przed oczyma różowe obrazy: czternasto-



letnie zaległości — to była suma pokaźna; mogłaby zapłacić długi, wrócić do Hamburga z dumą i zając inne stanowisko wobec męża, nie będąc już zależną od jego tylko łaski. Mogłaby uszczęśliwiać swoje dzieci. Zapaliła się do tego planu i napisała co prędzej o nim pani de Genlis. Miała o niej najświeższe wiadomości, gdyż spotkała w Londynie jej faworyta: „cudowne dziecko” muzyka Beckera, przezwanego przez nią Kazimierzem. Myślała, że matka dopomocze jej z całego serca i ułatwi przyjazd do Paryża.

Egoistka zadrżała. Było jej tak dobrze. Cesarz udzielił jej mieszkania w Arsenale, brała pensję sześciotysięczną z jego szkatuły, dwór otaczał ją względami, o jej stosunku do księcia zapomniano. Nagłe przybycie „angielskiej sieroty” odświeżyłoby wszystkie komeraże. Moralistka byłaby skompromitowana; Napoleon był wymagający pod względem reputacji. Poradziła niepożądanej i nieuznanej córce, aby prosto do Hamburga wracała. Tymczasem Pamela, obłożona przez wierzyteli, straciła głowę i popełniła krok nierozważny. Z pomocą Kazimierza, który ulitował się nad jej kłopotami, przejechała kanał incognito, na prywatnym statku księcia Esterhazego, protektora młodego muzyka i wraz z córką spadła na głowę dawnej opiekunki, wprowadzając ją w najgorszy humor.

Pani de Genlis przeraziła się myślą, że, na dobitek, Napoleon może ją posadzić o konszachty z Anglią i napisała do cesarza list, nie przynoszący jej zaszczytu, w którym wypierała się zupełnie Pamelą.

Cesarz patrzył na rzeczy bystrzej — nie przyszło mu nawet na myśl, aby wdowa po Fitz Geraldzie mogła być agentką angielską. Posłał natomiast do niej Fouchego, aby wypytać ją o stan umysłów w Irlandji. Po kilku słowach minister policji stwierdził, że ta naiwna kobieta niema pojęcia o polityce, uważając ją za nieszkodliwą, dał jej tymczasową na pobyt przepustkę.

Odepchnięta przez matkę, znalazła przytułek u przyrodniej siostry pani de Valence, a wnet ku wielkiej swej radości, spotkała się z dawną przyjaciółką Henrjetą, rozwiedzioną z bankierem Mathiessonem, obecnie baronową de Fin guerlin, z którą mąż purytanin, wzbronil jej był stosunków.

Rozpoczęła starania o odzyskanie swej renty. Do męża pisała, tłumacząc swą zwłokę w powrot-

nej podróży. Córeczce posłała najmłodniejszy klejnocik: „pendentif” do noszenia na szyi, przedstawiający artystycznie wymalowane oko jej własne: oko matki. Pan Pitcairn uważał, że ten podarunek nie zastąpi córeczce macierzyńskiego oka i rozgoryczony, słysząc fantazyjne plotki, napisał żonie, że nie życzy sobie już wcale jej powrotu a dziecko oddał pod opiekę swej siostry. Pamelę uraził ton jego listu. nie wiedziała iż do Hamburga doszła plotka że księżę Esterhazy wykradł ją i uwięził. Sądziła przeciwnie, iż mąż w czasie jej nieobecności stosunek jaki nawiązał. Zbyt dumna aby żądać wytłumaczenia a jako katoliczka, nie uznająca rozvodu, oddała mu wolność i wróciła do nazwiska pierwszego męża.

Urządziwszy sobie w Paryżu skromne mieszkanie powoli nawiązała znów stosunki z matką, dzięki małej Pam, której wdzięk podbił serce babki.

Guwernantka umiała snuć zawsze czarować serce dzieci, gdyż niebawem dziewczynka pisała do księżnej Leinster: iż „bardzo lubi panią de Genlis.” Chodziła do niej na lekcje malarstwa i historii świętej. Trzynastoletnia dziewczynka nie zdawała sobie sprawy, jaki węzeł łączy dwie kobiety, więc ze zdziwieniem usłyszała raz następujący dialog:

„Chwalisz się, że jesteś moją córką — mówiła pani de Genlis — a to nieprawda.”

„Jeśli nią jestem — odpowiedziała żywo Pamela — nie mam się czem chwalić.” (c. d. n.)

\* \* \*



## NIC WAŻNEGO

### PRZYJEMNOŚCI SPEŁNIONE.

„Szkoda kwiatów, które więdną w ustroni i nikt nie zna ich barw cudnych i woni”. Te kwiaty — to nie tylko cnotliwe dziewczęta, tęskniące do obrączki; to są także przyjemności, których nie zrobiliśmy bliźnim. Jest ich tyle... całe grzędy zapomnianych badyli. Na każdy czekała jakaś ręka, umarłe wonie przeznaczone były dla czyichś spragnionych nozdrzy.

Jednak pozwoliliśmy, by ręce drżały nadaremnie, a zapach zdeptano, jak niepotrzebną zapalną.

Otóż zdarzyła się raz taka historia:

Było nabożeństwo w wielkim kościele. Na ławkach zasiadły staruszki, udręczone przez artretyzm, niestare matki synów karciarzy, a także malutkich synków, chorych na gruźlicę; przed ołtarzami pełno klęczało opuszczonych kochanek, mężczyzn bezrobotnych i chłopców, których nie przyjęto „do skauta”. Od westchnień topiły się świece, z trzech naw płynęły trzy rzeki zgryzoty.

Nie brakło jednak i osób zadowolonych: te — chwyciły łapczywie woń kadzidła, tak wiosenną po zaduchu piwnicy, i oczy — zalepione brudem — kąpały w blasku wotów. Zdania łacińskie, beznamiętne, jak woda, spływały kroplami na spoczone grzbiety. Nikt w kościele nie wpijał się postronkiem w szyję tych szczęśliwców, więc klęczeli jaśni, nad wyraz dostojni.

Ileż to ksiądz rozwierał ramiona chcąc jakoby naród czule uściskać. z chóru opadał głos organów, łagodny niby skrzydło łabędzia. W chwilach skupionej modlitwy, kiedy przy ołtarzu działy się rzeczy najważniejsze, a głowy leżały pokotem tuż przy ziemi — głos milknął; ale zaraz, ledwie pofalowała dłoń boża, zaczynał falować słodko, mówiąc słowa podobne szeptowi matki przy ustach chorego syna. Nie było w kościele człowieka, któremu by głos ów nie odjął troski chociaż jednej. Nawet Staśkowi z drugiego oddziału, choć miał ucho tępe, wydało się, że organ powiada: „Nie bój się, chłopcze, tata po fajerancie trzeźwy wróci i bił was pogrzebaczem nie będzie”. A już kobiety, zwłaszcza młode, słyszały w kantyczkach wszystko dobre, czego nie wyrzekły im nigdy ludzkie wargi.

Nie wszystkie organy mają mowę wyraźną dla każdego i nie wszystkie kochają ludzi. Na to, żeby w antyfonach było Chrystusowe serce, trzeba dobrego organisty. W kościele, o którym mowa, po klawiszach chodziły ręce stare, pełne żyłek i zgrubień, ręce miękkie i bardzo mądre. Dlatego z chóru opadała na głowy otucha upragniona, jak deszcz przed sianokosem. Pan Walenty był srogim staruszkiem i nie łatwo mu dogodził przy miechach. Sam proboszcz chętnie przed nim się rejterował. W domu też, kiedy papa układał msze, cisza musiała być nabożna, inaczej — żonie i córom dostawały się nauczki. Za to fala, którą pan Walenty zraszał kościół na sumach



i na wotywach, wolna była od zółci, niczem wiatr w stepie.

Owego dnia na ławeczce pod amboną siedziała siwa pani z książeczką otwartą ciągle na tej samej litanji. Kiedy pani otwierała brewjarzyk, twarz jej dawała świadectwo [starości nieszczęśliwej. Przy ofiarowaniu—na czole rozjaśnił się nagłębszy cień. Potem pan Walenty otworzył okno na rajskie przestworza i słycać już było ciągle, jak śpiewają święci, dusze sprawiedliwe i aniołowie. Po ostatniej Ewangelji spojrzałam na siwą panią—miała oczy trzydziestoletniej kobiety w pełni uciech macierzyńskich. Jednak nie modliła się wcale; pozwoliła jedynie płynąć przez siebie rzece błogości, wytworzonej z organów.

Po nabożeństwie ludzie skłębili się u wyjścia. Znikły udręczone kochanki, mężczyźni bezrobotni, matki sponiewierane przez synów, artretycy i małe chłopaki bite bez winy—rozpychał się i wierzał ten sam tłum, co w szatni teatralnej dusi staruszki w pogoni za cylindrem. Widzieć nawet mogłeś wyraźnie, że w kruchcie stoi niedziela wściekła o dwie godziny czekania, i krzywym paluchem grozi Panu Jezusowi. Na krużganku już i śladu nie zostało z modlitwy. Jednym się wydało za ciężko tak długo tonąć w czystości, innym zapachniały serdelki, jeszcze inni głęboko zstąpili w siebie, aż ruszyły się z miejsca męty najbardziej gorzkie, i teraz szli skrzywieni do domu. Większość wszakże rada była ze mszy: ze schodów ciżba sunęła odświętna, jak dziecko po kąpieli.

Mijając schody na chór, zauważyłam siwą Panią w rozmowie z organistą. Że mnie odpychano, musiałam przystanąć i słyszałam, co mówili. „Panie, nie mogę odejść, nie uściskawszy rąk pańskich. Prawdziwie, doznałam łaski bożej przez tę muzykę. Bóg zapłać”—tak mówiła Pani, Pan Walenty zaś, czerwony i z brwią nasrożoną, stał o stopień wyżej—bez słowa. Raptem nachylił srebrnego jeża do dłoni kobiety i burknął niewyraźnie: „To ja... dziękuję. Pierwszy raz taka radość za trzydzieści lat... pracy”. Poczem odwrócił się i pobiegł, sapiąc, z powrotem na górę.

Pan Walenty z pewnością płakał tego dnia ze szczęścia po raz pierwszy w życiu.

I czemu? Bo więcej jest przyjemności, których nie zrobiliśmy bliżnim, niż cnotliwych dziewcząt, wędnujących w ustroni”.

Marja Kuncewiczowa.

## KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU



### KOBIECA STRAŻ OGNIOWA

Jak donoszą pisma angielskie w Londynie powstał pierwszy oddział straży ogniowej, złożony z samych kobiet. Strażaczki wykazują dużą zręczność, odwagę i pełnią swe obowiązki ku zupełnemu zadowoleniu swych przełożonych.

### MATKA I SYN — KOLEGAMI

Uniwersytet nowojorski cieszy się osobliwszą parą słuchaczy: na ławie studenckiej zasiadają obok siebie matka i syn, państwo Hochfelderowie.

Pani Hochfelder rozpoczęła swe studia jeszcze przed zamążpójściem, małżeństwo jednak i macierzyństwo przeszkodziły jej w dalszem kontynuowaniu nauki. Skoro syn jej dorósł, postanowiła ona z nim razem wstąpić na uniwersytet i dokończyć swego wykształcenia prawniczego. I oto teraz matka wraz z synem uczęszcza razem na te same wykłady, opracowuje wspólnie notatki, przygotowuje referaty itd. Stosunek koleżeński tych dwojga zacieśnił jeszcze bardziej węzły uczucia pomiędzy matką a synem. Siedemnastoletni pan Hochfelder, nawiasem mówiąc najmłodszy wiekiem z pośród studentów wszechniczy nowojorskiej — zdradza podobno duże zdolności naukowe i profesorowie rokują mu świetną przyszłość.

### ŚMIECH — WROGIEM PIĘKNOŚCI

Pisma kobiece angielskie zamieszczają sprawozdanie z konferencji pewnego słynnego lekarza-specjalisty w sprawach kosmetyki, na temat „śmiech — wrogiem piękności”.

Lekarz ów twierdzi, że główną przyczyną przedwczesnego węd-

nięcia skóry i ukazywania się zmarszczek jest ruchliwość twarzy, częste zmienianie wyrazu, w szczególności zaś śmiech. Aby zatrzymać na długo cerę gładką, bez zmarszczek, należy zachowywać zupełny spokój w wyrazie twarzy, unikać wszelkiego ożywienia, a zwłaszcza wystrzegać się jak ognia — płaczu i śmiechu. „Kobieta dbająca o swoją piękność” mówi ów lekarz — „powinna wyglądać zawsze, jak posąg marmurowy: zimna, spokojna i niewzruszona.”

Przykładem takiego dbania o swą urodę była słynna z piękności artystka włoska Lina Cavalieri, która — jak twierdzi sama w swych pamiętnikach — nie śmiała się nigdy, z obawy, aby śmiech nie wywołał przedwczesnych, a tak nieestetycznych zmarszczek koło oczu i ust.

Radość swą, czy wesołość objawiała ona nazewnątrz jedynie leciutkim uśmiechem, który zresztą — zdaniem jej wielbicieli — posiadał niezrównany urok subtelności, jej tylko właściwego wyrazu.

### „DZIEŃ DZIECKA”

W Ameryce obchodzony jest uroczystość, jako święto narodowe, „dzień dziecka”, przypadający w St. Zjednoczonych na dzień 1 maja. Za przykładem Ameryki północnej wprowadziło to święto u siebie i rząd meksykański. Ministerstwo oświaty wydało w dniu tym ulotki propagandowe, rozrzucone po całym kraju, w których głosi zasady higienicznego wychowania i ochrony zdrowia dziecka. Przytaczamy treść ich w całości:

„Zdrowie dziecka jest kapitałem narodu. Naród, który ma zdrowe dzieci, rośnie i rozwija się — ten, który ma dzieci chore, upada.

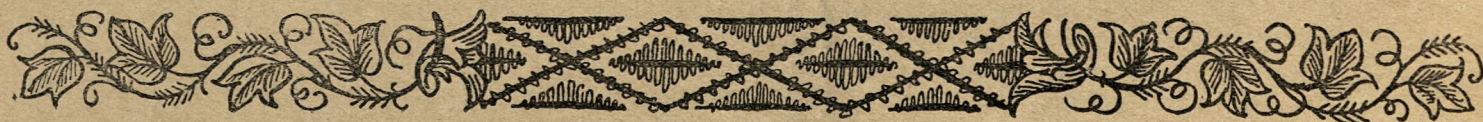
„Śmierć każdego dziecka powinna okrywać żałobą rząd i całe społeczeństwo.

„Niedostatek, który cierpią ubogie rodziny, jest krzywdą i stratą dla całego narodu.

„W każdym dziecku, które umiera, społeczeństwo traci może wielkiego człowieka, zdolnego lekarza, artystę, uczciwego pracownika, lub dobrą matkę. Straty tej ani ocenić, ani powetować nie można.

„Nie wystarcza jednak dać życie dziecku: trzeba je przy tem życiu utrzymać, trzeba mu stworzyć takie warunki, aby mogło wyrosnąć na pożytek nie tylko rodziców, lecz i całego społeczeństwa”.

Z. B.





# NA MARGINESACH ŻYCIA

Na marginesach, drobnem pismem pisać o tem trzeba, ale trzeba!

Dzieją się rzeczy, których ani psychozą powojenną, ani żadnem innem, subtelnie wymyślonem rozgrzeszeniem, usprawiedliwić niepodobna.

Niedawno we Lwowie odkryto dom schadzek, którego stalemi klientkami były panie z t. zw. „lepszego towarzystwa.” (Mój Boże, czemuż ono jest lepsze od innych!). Lwowskie dzienniki wypisywały nawet wówczas pierwsze litery imion i nazwisk owych dam, co w tak niewielkiem mieście, jak Lwów, pozwala łatwo odgadnąć całe nazwisko. Dodawano, że są to żony adwokatów, lekarzy, urzędników — jednym słowem — kobiety z inteligencji.

Obecnie w Warszawie, przy sposobności rewizji policyjnej, w mieszkaniu pewnej byłej artystki kabaretowej, notowanej zresztą już dawniej w Urzędzie sanitarno-obyczajowym, odkryto, nie bez udziału policji kobiecej, tajny dom schadzek.

I znów, zgodnie z zeznaniami domowników i gości, okazało się, że do domu tego uczęszczało „lepsze” towarzystwo: żony urzędników, inżynierów, niektóre paniątki z inteligencji, które tam brały lekcje życia...

Niechże jednak nikt nie sądzi, że chodziło tam o jakikolwiek rodzaj miłości nielegalnej, czy choćby nawet o rozpustę...

Nie. Tam poprostu szło o... pieniądze. Te panie „zarabiałały,” czy „dorabiały.” I na tle właśnie nieporozumień o owe „zarobki” między właścicielką lokalu, a jej klientkami — doszło do odkrycia tego cichego ustronia.

Powiecie mi zapewne, że takie rzeczy trafiają się wszędzie, że trafiały się i dawniej, że już Zapolska na ten „handelek” zwracała uwagę.

Tak, to bywało, ale bywało wyjątkowo. Dziś, niestety, jest aż nadto częste.

Nie chciałabym rzucać cienia na ogół pracowniczek różnych instytucji, ale wtajemniczeni, a zwłaszcza wtajemniczone wiedzą, że nie tylko potajemnie odbywa się to „dorabianie,” ale nawet zgola pod kontrolą Urzędu sanitarno-obyczajowego

A oto zestawienie:

Błotem obrzuca się prostytutkę, ciemną nędzarke, która najczęściej z głodu, z braku pracy, pod wpływami fatalnych okoliczności życiowych i deprawujących przykładów rodziny i otoczenia swego zesłała na fatalną drogę. Jest ona poza społeczeństwem, jest parją... pomimo, że wiele z nich zarabia tym strasznym sposobem na utrzymanie swoich dzieci, pomimo, że bywają takie, które łożą na wykształcenie brata, na utrzymanie starych rodziców i t. d. i t. d. (fakty autentyczne).

A damy z „lepszego towarzystwa”?... Nie nędza, nie głód, nie ciemnota pcha je na tę samą drogę..

One wszak „dorabiają” tylko. Dorabiają na jedwabne sukienki, na kosztowne kapelusze, na samochody, perfumy, łożę w teatrze, szampa w restauracji...

I „damy” te są szanowane, i przyjmowane w najuczciwszych towarzystwach, do których wnoszą woń deprawacji, zarażając nią podatniejsze żywioły, nadając atmosferze współczesnych zebrań towarzyskich ton cynizmu i perwersji, nieznaną dotąd w Polsce.

Te „damy” są prostytutkami, o wiele szkodliwszego gatunku, niż dziewczyny uliczne, te pogardzane, te wyrzucone poza nawias społecznego życia.

I czas już, aby kobiety inne, te, dla których jedwabna pończocha, dancingszał kawiarni nie stanowią rzeczy najważniejszej w życiu, te, które obok ciała i zmysłów jeszcze i duszę czują w sobie — czas, aby wytworzyły silny prąd duchowego odrodzenia i przeciwstawiły czystość i dumę zgniliźnie zepsucia, idącej zarazą przez całą nową Polskę.

\* \* \*

Jeden z radykałów sejmowych rzucił mimochodem, na postrach może nuworiszom, wniosek, by zmusić obywateli i obywatelki Państwa do oddawania Skarbowi klejnotów i kosztowności na podkład dla złotego. Wniosku tego, jako przeciwnego Konstytucji i nieuzasadnionego bynajmniej grozą położenia, nie poddał Marszałek nawet pod głosowanie.

Mimo to, nic tak nie poruszyło umysłów, na dyskusje sejmowe zazwyczaj głuchych i obojętnych, jak ta, swego rodzaju, bomba...

Złorzeczenie powszechne:

„Nigdy nie oddam im moich klejnotów!”

Ze strony mężczyzn, naturalnie, oburzenie na Grabskiego! No bo Grabski musi

być przecież wszystkiemu winien... tak, jak przed paru laty Naczelnik Państwa winien był nawet temu, że nie zamiatano dokładnie ulic Warszawy...

Zgorszona panie i oburzeni panowie! Byli podobno niegdyś w Polsce ludzie, co nie tylko klejnoty, ale „ostatnią koszulę” oddawali dla Ojczyzny...

Byli książęta wielkich rodów, co porzucali dla Niej zamki pradziadów, bogactwa, szczęście, świat wielki i szli na żywot męczeństwa, szli w kajdanach... Jako prości żołnierze służyli na Kaukazie, poddani rygorowi Mikołajewskiego regimu wojkowego.

Byli! do ostatnich dni ten typ ludzi żył wśród nas.

Czyżby już teraz całkiem zaginął?...

Nie. Zapewniam was, że nie!

Oni żyją. Tylko oni nie posiadają klejnotów, a często nawet i koszuli na grzbiecie. Zepchnięci na dno... pracują cicho i nie narzekają. Nie urągają swojej Ojczyźnie, nie obrzucają wymysłami władz swego kraju. Gdy im Grabski dołoży ciężaru, pochylają jeszcze bardziej grzbiety i idą w swoją drogę.

Radykalny wniosek „Wyzwolenia” nie przejął ich oburzeniem. Klejnotów nie mają zaprawdę, ale drogocenny koral ich krwi, gotów zawsze popłynąć rzeką, ale kryształny djament ich żywotów rzucony będzie bez pychy na szalę wydarzeń wtedy, gdy inni pakować będą kosztowności swoje i wywozić z kraju, w bezpieczne schronienie, unosząc siebie i bogactwa.

Andrea.

## 10-ciolecie Kursów dla Dorosłych

Kursy dla Dorosłych stołecznego miasta Warszawy, przez szerszy ogół brane są zwykle za kursy dla analfabetów wyłącznie i chociaż corocznie we wrześniu olbrzymie żółte plakaty wielkimi czarnymi literami wołają na warszawiaków: „Chcesz się uczyć? Zapisz się na Kursy dla Dorosłych i t. d.” wyszczególniają przytem cały kompleks instytucji, kryjących się pod skromnem mianem „kursów;” chociaż w chwili rozpoczęcia nowego roku szkolnego zjawiają się po pismach dokładne, acz zbyt krótkie wzmianki — „Kursy” w oczach wielu nie stykających się bezpośrednio z niemi w dalszym ciągu są wciąż jeszcze uczelnią tylko dla nieumiejących zupełnie czytać i pisać.

Po wyjściu Rosjan, a nawet już od chwili wybuchu wojny światowej rozpoczęło się równocześnie z innemi nie cierpiącymi zwłoki akcjami i masowe nauczanie i douczanie dorosłych, Z posród wielu organizacji tego typu Kursy dla Dorosłych miasta stołecznego Warszawy odrazu ogarnęły wielkie rzesze, gdyż pracują nad ludźmi wszystkich obozów politycznych,





kiedy mamy tyle innych uczelni, związanych z adherentami tej lub innej partji. Kursy powstały w sierpniu 1915 roku. Założycielami ich byli: pp. Stanisław Michalski, Marja Gomólińska, Aleksander Janowski, Stanisław Małkowski, Józef Zawadzki. W ciągu 1915-16 roku szkolnego zostały przekazane Magistratowi st. m. Warszawy, jako autonomiczna Sekcja ówczesnego Wydziału Szkolnego, kierowana przez własny Zarząd, mianowany przez Prezydenta m. st. Warszawy. W roku obecnym 1925-26 Zarząd Kursów przestał istnieć. Powołuje się obecnie do życia Radę Kursów dla Dorosłych miasta stołecznego Warszawy o charakterze opiniodawczym.

Instytucja nie posiada własnych lokali mieści się po szkołach powszechnych po dziennej i popołudniowej zmianie dzieci. Sam Zarząd instytucji, w której się uczy tysiące ludzi, zajmuje trzy małe pokoiki przy ulicy Kruczej № 21. Kursy z biegiem czasu podlegały ciąglej ewolucji. Zmiany te były zależne od potrzeb chwili i doskonalenia własnego systemu, metod, sposobów nauczania.

Ogniska, pojedyncze ognia instytucji, rozrzucone są po różnych dzielnicach miasta. W jednych uczą się dorośli od lat 18, w innych — młodociani od 14 do 18. Oddzielne ogniska dla chłopców, oddzielne dla dziewcząt.

Nauka odbywa się w godzinach wieczornych od 7 do 9 i pół.

W obecnej chwili prowadzone są przez K. d. D. st. m. Warszawy następujące typy uczelni:

- 1) Kursy Początkowe dla Dorosłych — 87 kompletów;
- 2) Kursy Początkowe dla Młodocianych — 46 kompletów;
- 3) Szkoła Powszechna dla Dorosłych — 10 kompletów;
- 4) Szkoła Powszechna dla Młodocianych — 34 komplety;
- 5) Uniwersytet Powszechny — 4 kompl.
- 6) Świetlice dla Młodocianych — 12 kompletów.

Na Kursach Początkowych nauka odbywa się trzy razy tygodniowo po trzy lekcje dziennie: język polski i arytmetyka (w zakresie 5 — 6 oddziałów szkoły powszechnej), geografia, historia, nauka obywatelstwa i higiena. 9 semestrów.

W Szkole Powszechnej również po trzy lekcje dziennie, lecz nauka odbywa się pięć razy tygodniowo. Kurs trzyletni, dla młodocianych — czteroletni. Przyjmuje się kandydatów z umiejętnością czytania, pisanja i czterech działań w za-

kresie liczb całkowitych. Abiturjenci zdają egzamin na świadectwo państwowe przed komisjami, powołanymi przez p. Inspektora Okręgu Szkolnego m. st. Warszawy.

Z Uniwersytetu Powszechnego korzystają tylko dorośli: a) na dwuletnich Kursach matematyczno-technicznych nauka trwa trzy dni w tygodniu po trzy lekcje dziennie: matematyka, mechanika i kreślenie techniczne, b) dwuletni zaś Kurs ogólnokształcący przeznaczony jest dla abiturjentów Szkoły dla Dorosłych — pięć dni w tygodniu po trzy lekcje dziennie: polonistyka, historia, nauki społeczne i przyrodnicze.

Chcąc niedorośle dziewczęta i chłopców usunąć od optakanych wpływów ulicy, powołano do życia t. zw. Świetlice. Główny nacisk kładzie się tu na stronę wychowawczą, na podniesienie poziomu etycznego, kultury towarzyskiej i estetycznej. Na terenie Świetlic organizowane są w niedziele odczyty, rysunki, roboty ręczne, gimnastyka, gry ruchowe, śpiew, kółka samokształceniowe i t. p.

Prócz tych zajęć systematycznych, Kursy organizują w Ogniskach i wynajętych salach sporadyczne odczyty z różnych dziedzin nauki i sztuki oraz wycieczki miejskie i zamiejskie różnego typu.

W roku 1919-20 słuchacze zrzeszyli się w Kole Oświatowem, które niezwykle energicznie a owocnie przeprowadza agitację na Kursy dla Dorosłych na początku każdego semestru, organizuje kolonie wakacyjne odpoczynkowe dla swoich członków.

Kursy posiadają nadto bibliotekę w Centrali i biblioteczki po Ogniskach, oraz własną Przekroczarnię. Od samego początku ich istnienia różne instytucje, szczególnie z prowincji, zgłaszały się o porady, udzielane nb. b. chętnie, co pobudziło z czasem do życia (w r. 1919) instytucję, ale już społeczną pod nazwą „Centralne Biuro Kursów dla Dorosłych.” Prowadzi ono propagandę pracy oświatowej wśród dorosłych na terenie Rzeczypospolitej, udziela porad, wysyła instruktorów na prowincję, organizuje i prowadzi kursy instruktorskie, prowadzi badania metodyczne, głównie na terenie Kursów warszawskich, podejmuje wydawnictwa w zakresie metodyki i podręczników do nauki dorosłych, posiada nadto składnicę wydawnictw.

\* \* \*

Chcąc szerszemu ogółowi przedstawić rezultaty swej dziesięcioletniej pracy,

a także obliczyć własny dorobek, Kursy urządziły w październiku r. b. w lokalu Towarzystwa Krajoznawczego przy ulicy Karowej wystawę prac uczniów.

Systematycznie rozłożone kajety od I semestru do IX i od pierwszego roku Szkoły do trzeciego przedstawiły stopniowy rozwój uczeni i zakres pracy. Z pośród eksponatów wyróżniały się mapy i wykresy uczeni z dziedziny geografji i nauki o Polsce, pomoce naukowe, szczególnie bryły geometryczne z różnych materiałów, wykonane przez uczniów.

Centralny punkt wystawy stanowiło olbrzymie, świetnie pomyslane drzewo genealogiczne, praca p. Marjana Godeckiego, członka Zarządu, przedstawiające stopniowy rozwój instytucji. Dalej olbrzymia ilość wykresów, przygotowanych pod kierunkiem również p. Marjana Godeckiego, człowieka o niezwykłej pomysłowości i inicjatywie, zobrazowały dokładnie frekwencję słuchaczy; stosunek ilościowy obu płci, różnych zawodów, wieku, czas przebywania w uczelni i t. p.

Dział rysunków technicznych z wielką umiejętnością i gorliwością prowadzony od pięciu lat przez p. Serkuczewskiego, przedstawił się wprost świetnie. Precyzyjnie wykonane rysunki czystością i dokładnością nie różnią się od prac słuchaczy wyższych uczelni tego typu. Kursy dla Dorosłych gotują nam umiejętności wykonalców w zakresie rzemiosła i wielkiego przemysłu, których tak wielki brak w Polsce. Przeznaczone są dla metalowców z uwzględnieniem jednak i innych zawodów, np. ostatnio przybył dział budowlany.

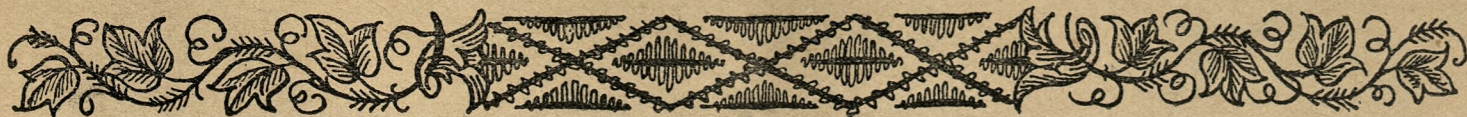
W drugiej sali zebrane były na stołach wydawnictwa Centralnego Biura Kursów dla Dorosłych, zbiór fotografii z Kursów Instruktorskich, roboty ręczne: hafty, witraże i t. p., wykonane w Świetlicach. Zobrazowano też działalność słuchaczy Koła Oświatowego. Pozatem zgromadzono olbrzymią ilość fotografii i całych albumów, ilustrujących życie na Kursach, dużo pamiątek z wycieczek po mieście i całej Rzeczypospolitej, a także adresów i miłych upominków, wyrażających uznanie dla kierowników i nauczycieli.

Zakończeniem jubileuszu było uczczenie pracy p. Antoniego Konewki, który będąc od lat dziesięciu kierownikiem tej tak bardzo rozgałęzionej instytucji, położył wielkie zasługi, jako sprężysty i wielce umiejętny administrator w nader ciężkich i trudnych warunkach jej istnienia w latach wojennych i powojennej dobie obecnej.

Józefa Gażyńska.







## ELEGANCKIE UCZESANIE



I



II

Nie wszystkie panie zdobyły się na odwagę obcięcia włosów i słusznie — moda minie, a na to żeby odrosły dawne, nieraz piękne spłoty, trzeba czekać lata.

Dla tych więc, które nie uległy ogólnej epidemii podajemy sposób uczesania, który z przodu robi zupełnie wrażenie obciętych włosów, z tyłu zaś nadaje głowie ładną i elegancką linię.

Po rozczesaniu włosów i przedzieleniu ich pośrodku należy oddzielić z każdej strony na skroni pukiel prze-

znaczony do zaondulowania, który będzie imitował loczki spuszczone na ucho (rys 1). Resztę włosów trzeba zaczesać do tyłu i przekła-

dając prawą część na lewo, a lewą na prawo umocować nisko na tyle głowy (rys. 2 i 3). Rys. 4 wskazuje sposób wyciągnięcia i ułożenia pu-

kla nad uchem, poczem koniec użytych na to promieni spiąć należy także na tyle głowy.

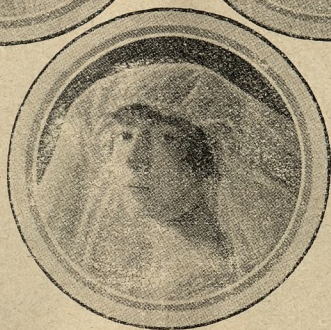
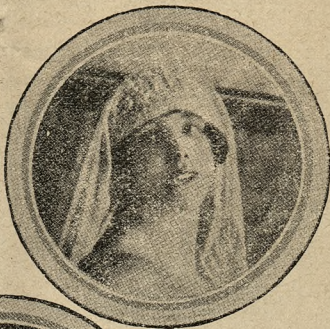
Wszystkie tak związane włosy rozdziela się na dwie równe części i upina jak na rys. II, chowając końce włosów pod grzebień ozdobny i zakańczając upięcie szpilkami odpowiedniemi do grzebienia.

Uczesanie to en face widzimy na rys. I.





## MIRAŻE



Małeńkie stacyjki, pieściwie wtulone w szachownicę pól uprawnych, rzucone na tło rozległej panoramy morza, lub ziarnkiem piasku, do stóp gór niebotycznych przywarte, są przeważnie, w okresie wywczaśów letnich, terenem narodzin uczuć dziewczęcych.

Wśród dłoni, w pożegnalnym wyciągniętych uścisku, znajdzie się zwykle ta jedyna, w której zadrży drobna rączka, jak serce spłoszonego ptaka.

Przy akompaniamencie huku zięjącego ogniem i dymem potwora, co z szybkością błyskawicy połyka przestrzeń i ciężarem swego lśniącego cielska przewala się po świetlanej wizji dnia wczorajszego, miazdząc w nieubłaganym kół obrotu, listki róż, z pożegnalnych opadające wiązanek, a złośliwy i chytry, drży tajonym spazmem śmiechu, na odgłos zatrząsanych drzwi; odgłos co kładzie nieprzebytą zaporę, między szumem potoków górskich, poświatą księżycą falą Bałtyku srebrzącą, bogactwem zło-

cistych łańców, a szarżyną i smętkiem miejskiego deptaka, ku któremu z taką złośliwą pasją, unosi połknięte w locie ofiary!

Stacyjki takie których powietrze zatrute jest bakcylami niepokoju o los gorączkowo wrzucanych bagaży i widmowego lęku przed perspektywą nocy spędzonej w zatłoczonym korytarzu, zarysowują się w pamięci naszej rzewnie, zaledwie wtedy, gdy miarowym stukotem kół ukołysane nerwy i należące już do przeszłości wstrząsy odjazdu, pozwalają, raz ostatni, przed pójściem w służbę twardej rzeczywistości, skrzydłom wyobraźni w lot uderzyć.

W tej oto godzinie ciszy i porachunku z wrażeniami doby ubiegłej, oczy wpatrzone w tajemnicę nocy, rozdieranej srebrzystym snopem iskiei, na szybie świetlane znaczących miraże, widzą rzeczy dotąd niewidziane. Budzą się do życia jakieś promienne uśmiechy, co wgląd naszej zapadły świadomości, powstaje przebrzmiałe echo słów, nabiera ważkości i znaczenia, a ręce nieświadome, a posłuszne, rozplątują chaotycznie zgarnięty pęk pożegnalnych wiązanek, wyszukując tę... jedyną.

W mgle leż, co żegnają niepowrotną beztróską dni słonecznych rodzi się uśmiech przeczuwanego szczęścia, a kielich goryczy i żalu za minionem, zmienia się niepostrzeżenie, w czarę słodkich obietnic, na której dnie czai się oczekiwanie dni, co idą, oczekiwanie radosne i niecierpliwe, miast przymusowego marszu w szarżynę dnia codziennego, triumfalny pochód ku nieznanemu.

Jeżeli się ten pierwszy rozkoszny dreszcz świadomości uczuć, poczęty w słodkiej woni róży, wyniesionej pieściwie z mroków małeńkiej stacyjki ku słońcu miłości, przerodzi w trwałą i pełną akord porozumienia, a finałem najrozkoszniejszej epoki życia będą ukwiecone stopnie ołtarza, trzeba ku nim iść przez słodką udrękę przedwstępnych przygotowań.

Dawne wyprawy bogate i wspańnię, liczące na tuziny i tuziny bieliznę osobistą, stołową i pościelową, srebra, kryształy i cieniutkie porcelany, należą do niedawnej, lecz niepowrotnej przeszłości. Materjalnie uprzywilejowane jednostki, są dzisiaj coraz rzadszym okazem, a i małżeństwa traktowane tak, jak to dawniej bywało, przechodzą niepostrzeżenie do historii. Niezbędna dawniej pompa i reprezentacyjność ceremonji, odarta ciężkimi warunkami materjalnymi ze zbędnego, a powierzchownego splendoru zachowała jednak majestat i uroczystość nastroju i nie pozwoliła so-





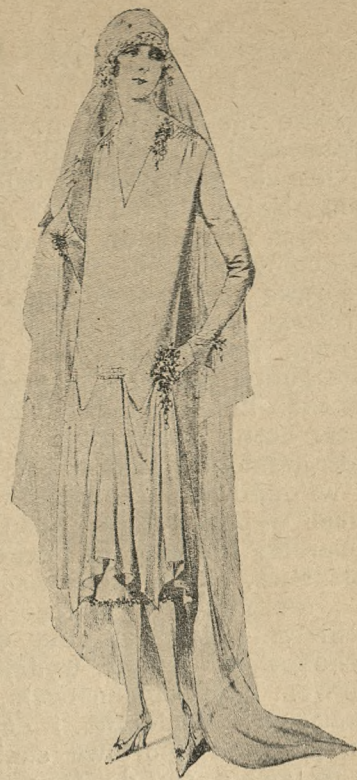


doceniają wagę stawianego kroku i odrzucając pozory, zwyczaje i przykazania wiekami uświęcone, wylawiają sercem i myślą z chaosu uczuć, pragnień i nadziei, tylko te najgłębsze i najpoważniejsze, z trudnością i prawdziwym żalem wyrzekają się niezastąpionego niczem uroku sukni ślubnej i welonu.

Jak w całym stroju kobiecym, tak i w sukniach ślubnych, zaszła w dobie powojennej niemała ewolucja. Przedewszystkiem, ciasne ramy w jakie ujmowano dawniej strój weselny, rozszerzyły się niepomniernie.

Do dawnej nieskazitelnej bieli, w którą dozwolono było wpleść zaledwie nikłą zieleń mirtu, czy listków kwiatu pomarańczowego i bogactwo mniej, lub więcej cennych koronek, przybywa dzisiaj cała gama srebrzystych haftów, szlaków perłami szytych, ciężkich paciorkowych wisiorów, a nawet i srebrzystej, a wszechwładnej dzisiaj... lamy.

Spotykamy często łączność sukni z przybraniem głowy, a jedna z piękniejszych tualet, jaką zanotowała w dobie ostatniej kronika mody, to suknia z miękkiego jedwabiu „crêpe satin“ zwanego, gładka, wykończona szeroką kłozową falbaną, która z przodu lekko otwarta, przechodzi w długi wspaniały falujący tren. Jako jedyne przybranie, krzyżujący się z przodu wąski szlak, w rząd muszelek o połysku kości słoniowej, haftowany. Takież w muszle dziergany obcisły czepeczek, a z pod niego spływająca mgła pajęczych koronek, i wijąca się przez plecy, aż do końca długiego



bie wydrzeć ślicznego zwyczaju, przystępowania do ołtarza w cudnej, zwiewnej bieli.

Bez względu na to, czy ceremonia ślubna odbywa się przy świetle dziennem, czy sztucznem, panna młoda występuje prawie zawsze w bieli, chyba, że ślub ma miejsce na rannej Mszy, a względy rodzinne, czy materialne zmuszają do jaknajdalej idących ograniczeń. Zdarza się też często, że młoda para natychmiast po ślubie wyjeżdża, wtedy najracjonalniej i najpraktyczniej jest strój weselny zamienić na elegancki kostjum podróży, w tonach jasno popielatych utrzymany, starając się unikać domieszki wszelkich innych barw. Jasny elegancki kapelusz, płaszcz lub długi zakiet, podbity białym jedwabiem, pantofelek dobrany kolorem do sukni, białe rękawiczki, kilka śnieżnych róż (duże strojne bukiety nie licują z raną tualetą), oto śliczna i praktyczna całość, która po spełnieniu swej zaszczytnej misji, służyć może do celów spacerowych i wizytowych. Punktem kulminacyjnym stroju weselnego jest jednak zawsze welon... Zmodernizowanie tualety ślubnej i wszelkie stąd ograniczenia są przeważnie wynikiem takich, czy innych konieczności, a zawsze i bezspornie bolesną koncesją na rzecz takowej uczynioną. Nawet te z nas, które

trenu wstążka śnieżysta, zdobna haftem. Jeżeli chodzi o suknię skromniejszą, odpowiednią szczególnie wtedy, kiedy zdarza się młodej parze stanąć u stóp skromnego wiejskiego ołtarza, wśród ścian którego razłyby jaskrawie wszelkie wspaniałe hafty i lamy, ślicznym będzie strój ślubny wykonany z białej georgette'y.

Suknia zaledwie odsłaniająca szyję, z szeroką bertą odrzuconą w formie dużego kołnierza, długimi rękawami i spódniczką kłozową u dołu rozszerzoną, która wydłużając się z tyłu, przechodzi w tren rozłożysty, osztyt łącznie z dołem sukni układaną rurszą z georgette'y. Zamiast kosztownych koronek skromnie upięty welon, którego głównym urokiem jest bogactwo śnieżno białej i zwiewnej iluzji. Welony, podpinane dawniej stereotypowym wianuszkami, lub bukiecikami kwiatu pomarańczowego, zasadniczo zmieniły swój charakter.

Dzisiaj noszone są djade my z pereł, srebrne siałki przetykane kwiatem pomarańczowym, a welon z iluzji, zawsze jednak najładniejszy, zastępuje niejednokrotnie koronka. Popatrzcie na załączone rysunki—każda suknia, każde upięcie welonu ma swój charakter i urok i nie wątpię, że każda z Was znajdzie coś odpowiedniego dla siebie. W.D.





## MODA NA SCENIE

Dawno nie widziana na scenie warszawskiej Lucy Messal czaruje w „Orłowie” talentem, wdziękiem i gamą olśniewających tualet. Każda z naszych prymadonn ma swój indywidualny sposób zapatrywania na sprawę scenicznych tualet. Nie-wiarowska przytłacza widza nadmiernym przepychem. Jak pióra, to do sufitu, jak tren, to przez całą scenę. Elna Gistedt ubiera się w prześliczne sukienki, z których każda dałaby się zastosować w życiu w odpowiedniej okazji. Lucy Messal wybrała drogę pośrednią.

Operetka nie wymaga prawdopodobieństwa, niema wiele wspólnego z realizmem. I dlatego choć przebieranie się dwukrotne w samochodowym garażu wydaje się życiowem niepodobieństwem, jest jednak ono konieczne i celowe, gdyż pierwsza sportowa sukienka nie nadawała się do tanecznych ewolucyj. Diwa zrzuca elegancki samochodowy płaszcz beige, podbity pastelowym jedwabiem w wielkie kraty, z podobnym szalem, związanym w węzeł na szyi i przebiera się w suknię, łączącą w sobie wszystkie odcienie cyklamenów, od najjaśniejszego do najciemniejszego. Na szyi szal z koronki, ufarbowanej na ciemny fiolet i batikowana chusteczka, również cyclamène. Ta chusteczka nieco obciąża powiewny strój, ale oto orkiestra zagrała kozaka, p. Messal puszcza się w płas, chusteczkę zarzuciła na głowę i robi wrażenie uroczej wiejskiej dziewczyny.

Wszystko przewidziane, wszystko celowe. Potem narzuci na tę suknię pelerynę z jedwabiu i felpy w dwóch odcieniach cyclamène, ciemnych i soczystych. Dół peleryny wycinany w wielkie zęby. Całość majestatyczna i malownicza.

Tualeta ze srebrnej lamy w akcie drugim zdobna jest w dole w sztywne metaliczne godety, rozszerzona dyskretnie tiulem, haftowanym srebrem. Na ramionach zwoje tiulu seledynowego i lila. Na głowie coś pośredniego między paskiem, a kokosznikiem z lamy i srebrnych kwiatów. Ale do wielkiej sceny dramatycznej przebiera się artystka we wspaniałą krynolinę ze złocistej koronki, wstążki z oranżowego ninon spadają wzdłuż krynoliny od pasa do stanu sy-



metrycznie, w równych odstępach. Stanik tworzy draperja z koronki, okalającej twarz, niby czepiec zakonny i opadający w ciężkich, rzeźbionych fałdach, poniżej pasa. Na głowie pióropusz z pomarańczowych strusich piór. Strój fantastyczny i fantastycznie piękny. Długa krynolina budzi niepokój, czyżby nasze krótkie suknie, nieraz dopiero obstalowane, miały nagle wyjść z mody?

W akcie trzecim ma Lucy Messal luźny peniuar, koloru moutarde, osyty w dole i u rękawów szerokimi pasami marabuta. Niezapięty z przodu odsłania prześliczne dessous z morelowego crêpe de chine'u (najmodniejszy obecnie kolor bielizny, niesłusznie „bielizną” zwanej). Ostatni kostjum taneczny jest istnem arcydziełem barwy i kroju. Krynolinka z różowego tiulu, obcisły stanik, zaszyty świecidłami, na obnażonych ramionach, trzymający się dziwną jakąś tajemnicą kunsztu krawieckiego, olbrzymi kołnierz Medicis przejrzysty, a świecący. Na białej peruce czworograniasty kapelusz z różowego aksamitu. Niepodobna wymarzyć piękniejszego przebrania na wytworny bal kostjumowy. Nelly Herten ma w akcie drugim ładną sukienkę z białego cyclamène georgette'y za haftowaną brylantami i świecidłami, niemal obcisłą na biodrach i znacznie poszerzoną w dole. Ładnie wygląda przy tej tualetce olbrzymi wachlarz z pomarańczowych strusich piór,

W. L.

## PRZEJŚCIE KOBIETY W JESIEŃ ŻYCIA

Dla większości kobiet rozstanie się z młodością przechodzi niepostrzeżenie, zwłaszcza jeżeli mają dorastające córki. Proces ten jednak dla kobiety przywykłej do królowania w salonach, dla której młodość była niejako pochodem triumfalnym, a ona sama ośrodkiem towarzystwa, promieniejąca blaskami, dla tej kobiety, uświadomienie sobie kresu młodości bywa tragedią gorązkowo ukrywaną nawet przed sobą, a jednocześnie, niepokojącą ją ustawicznie.

A przecież po wiosnie przychodzi lato, a potem jesień, tak początkowo łudząca pozorami lata... Bezwzględne i nieubłagane prawo natury przejdzie zwycięsko mimo

najheroicniejszych wysiłków i protestu. — Cóż zatem mamy czynić, by spokojnie i pogodnie przejść ową niebezpieczną granicę i poddać się niecofniętej konieczności z całą swobodą i wdziękiem? O tej to fazie, niesłychanie ważnej w życiu kobiety pragnę pomówić.

A zatem: wszystkie się zgodzimy na jedno, że każda rezygnacja jest smutną konsekwencją dla zwyciężonego. W naszej jednak mocy leży uchronić się przed nią i w odpowiednim momencie ustąpić z pola walki dobrowolnie, nie zaznaczając ostro linii demarkacyjnej, ale stopień po stopniu schodząc z areny niepostrzeżenie dla drugich.

Wtedy berło władzy nad sobą i światem, w którym dotąd żyliśmy w iskrzących barwach młodości, pozostanie w naszych dłoniach.

Nie mam bynajmniej zamiaru moralizowania, ani też myślę ogłaszać krucjaty przeciwko wrodzonej zalotności, a zwłaszcza w dzisiejszej dobie, kiedy t. zw. wiek Balzakowski przedłużono kobietom conajmniej o lat dziesiątek, a co zatem idzie, iż ułatwiono nam powolne i nieznaczne wycofanie się w tylne szeregi. Chwila przełomowa jest tak bardzo ważną dla każdej z nas i tak wiele w niej leży zamkniętych dotąd zagadnień, iż wymaga głębokiego zastanowienia i krytycznej rozważki.



Niektóre z kobiet długo jeszcze zachowują świeżość i giętkość i mogą królować czas jakiś rywalizując skutecznie z wiosenną młodością. Inne, same przed sobą przyznają się do znużenia i z trudem, jedynie uderzone batem miłości własnej, zmuszają się do wyczerpujących ich energię obowiązków, by nie abdykować z raz zajętego stanowiska w towarzyskim życiu.

Sama jestem jedną z was moje panie — i podpatrywałam was pilnie, a znanem jest, że wróg z naszego obozu, bywa najniebezpieczniejszym wrogiem... Pomimo to uśmiechałam się do was i z wyciągniętymi do uścisku dłońmi zbliżałam się i proszę: — zajmijcie kozetki i fotele, atmosfera, jaka was otoczy, będzie przyjazna i serdeczna, abyście się istotnie poczuły u siebie!

Otóż zaczynam pogawędkę (i o wasze uwagi proszę!), gdyż pragnę się podzielić moimi spostrzeżeniami i refleksjami na ten temat.

Wiemy o tem wszystkie, iż każda kobieta, bez względu na wiek, choćby nią była siwowłosa babunia, może być błogosławieństwem, blaskiem złotym i ożywczy dla mężczyzny i całego otoczenia. Dom swój, gdy zechce, rozświetli i wypromieniuje ciepło domowego ogniska, jego piękno i wdzięk. W każdej z nas bije niewyczerpane źródło kochania i dobroci, to, które goi i leczy, znużeniu przywraca świeżość, wznieca nadzieje i pobudza do czynu! Tę moc posiada każda! Zatem władza nasza umiera dopiero razem z nami, berła jej nikt nam z rąk nie wytrąca. Usuwając się z widowni, królestwo nasze przenosić się może dla widza na teren ciśniejszy, ale za to pogłębia się stopniowo i do nieokreślonych granic...

Gdzie zatem tragedia? Dlaczego ów paniczny lęk przed zaznaczającymi się zarysami zmarszczek, przed tak starannie wrywanym, a ukazującym się coraz częściej siwym włosem? Wszak każda z pór roku posiada specjalne czary i powaby; maj radosny przechodzi w szal słoneczny, w ulewę róż, by oprzytomnieć w jesieni. A jakież piękną, jak przebogatą nasza polska jesień — razem ze srebrnymi nitkami „babiego lata”? ileż w niej barw i harmonijnego spokoju! — I wy panie w lat jesieni jesteście do niej podobne, zwłaszcza, gdy otwarcie i śmiało przyznacie się do niej przed sobą. W waszym spojrzeniu, miast zalotnych ogników jaśnieje mądrość świadoma,

na twarzy już nie tak świeżej znać delikatny rylec życia, ale w jego znakach odczytuje się silne rysy charakteru. Wyraz cały nabiera indywidualności, przez usta mówi dobroć i tkliwość uśmiechem macierzyńskim.

„Starsza pani” — to najprawdziwsza władczyni życia towarzyskiego, od jej taktu i doświadczenia zależną jest młodsza generacja, szczęście naszych córek i synów po części wszak w naszych rękach. Niedawno brałyśmy żywy i czynny udział w turnieju młodości i wszystkie jego niebezpieczeństwa świeżo mamy w pamięci i wspomnieniu. Jakież nam łatwo rozumieć i kierować tą giętką, młodzieńczą istotą stojącą niby poza nią, a w pobliżu! nie zagrażając problematyczną konkurencją, a zaskarbiając sobie miłość, zaufanie i szacunek naszego pokolenia.

Zdarzyło mi się kilkakrotnie słyseć słowa pełne żalu i usprawiedliwień: „Ależ ja się mimo mego wieku czuję młodą i pełną życia; cóż mi pozostanie, gdy przestanę się bawić i flirtować?...” albo: „...ja się boję starości, wolę umrzeć młodo!..” Przyznaję się, że zdumiało mnie takie postawienie kwestji, tem więcej, że słowa wypowiedziała kobieta ze wszech miar niecodzienna. Dowodzi to tylko faktu, iż kobieta bardzo często rządzi się impulsem bezkrytycznym, a niejednokrotnie bezmyślnym, z jakim n. p. bierze wzory mód nie zawsze dla siebie odpowiednich, a czasem wręcz niekorzystnych.

Kobieta o której mówię, była znakomitą causeur'ką, a jej jednostronnie wygimnastykowana inteligencja, zapewniała jej bezprzeczenie mocne stanowisko wśród ludzi, mimo to nie stała w żadnym stosunku do jej dorobku duchowego i wewnętrznych wartości. Na korzyść dzisiejszego dnia obdzierała jutro, wyjaławiała bogatą glebę, pozostawiając „na potem” smutny ugor. Nie dziwię się zatem, że przed nią koszmarem straszliwym stawała jesień i starość ze smutną próżnią.

„Raczej wszystko, niż przyznanie się do swego wieku” — i po tych słowach rozpoczyna się intensywna praca przy pomocy sztuki stosowanej: spędzanie całych, długich godzin w „laboratorjach piękności”, słowem kunszt odmładzania się przez zacieranie wszelkich oznak zbliżającej się jesieni. Te zapobiegawcze metody torturujące dobrowolną męczenniczkę kosztem straconego czasu i zawartości sakiewki, są raczej przyśpieszeniem „tragicznego kresu”. Rozpaczliwa obro-

na na krótki czas skutkuje, dając jej chwilowe złudzenie, iż odnalazła tajemnicę wiecznej młodości nie-spostrzeżenie dla nikogo! — Zwolna jednak, sama nie wiedząc kiedy, zatracą stopniowo krytycyzm dla siebie, popada w przesadę, przekraczając tolerowaną miarę, staje się nienaturalną i pretensjonalną, a w końcu śmieszną. Próżność u istot młodych jest wybaczalną, u pań starszych — rozpaczliwie śmieszną, a co najwyżej litość budzącą!

Rozumiemy, iż świadome rozstanie się z młodością, choćby tylko przed sobą samą, jest faktem nie zawsze łatwym, zwłaszcza u kobiet z żywym i bogatym temperamentem, czującym swoją wewnętrzną młodość i pełnię świadomych pragnień. Wszystko w nas protestuje z dzikim buntem przeciwko niedającemu się zwalczyć prawu i podejmuje każdy wysiłek, byle jeno chwilę ową oddalić. Momenty tej z góry przesądzonej walki są go-dzinami bezsilnej rozpacz.

Cóż zatem czynić? czyż spragnionej t zw. „życia” zalecić surową ascezę, lub rezygnacyjne opuszczenie ramion?

Nie, i jeszcze raz nie! Do naszych obowiązków należy, byśmy zawsze kultywowały piękno, zachowując wdzięk do końca, ale do tego niepotrzebne tajemnice kalotechniki z całym szarlatanizmem kremów, farb i maści, bo te zastąpi doskonałe dzisiejsza terapia, gimnastyka, ruch na świeżem powietrzu, słońce i sporty. Nie sztuka pielęgnowania cery, ale wewnętrzna pogoda i harmonja przedłużą naszą młodość do końca życia!

Kiedyż więc ów decydujący moment przełomowy? — Sądzę, że każda z nas z wrodzoną wrażliwością swoją odpowie sobie na to pytanie i wyczuje granicę, poza którą przejść nam nie wolno, zaś wyczuwszy, odejmie sobie dobrowolnie i dyskretnie pewne przywileje należne ściśle określone mu wiekowi, zdaje mi się też, że przedwczesne uczynienie takiego kroku będzie zawsze mniejszym ryzykiem, niż najmniejsze opóźnienie...

A teraz: jakież bolesne chwile przeżywa kobieta broniąca się przed podobną fazą? Spójrzmy na nią:

Długoletnia władczyni salonu, pani z ustaloną sławą gwiazdy towarzyskiej w tym właśnie okresie. Ona, która dotąd budziła zachwyt i podziw, dla której szermierka błyskawicami była rozkoszą, ona, inicjatorka interesujących zebrań — od pewnego czasu widzi przymgle nie oraz odcień przymusu w swo-



jej konstelacji. Odczuwa i porównuje dzisiejsze nikłe triumfy z przeszłymi i spostrzega z przerażeniem przyblakłe i coraz mniej aktualne swoje walory. Stara się dostosować do prądu czasu, co czyni ją nie-naturalną i sztuczną. Dama owa, żyjąca dotąd w ciasnym kole przyjemności, rozrywek i filantropji z patentem sfer uprzywilejowanych, cały ciężar swego istnienia przenosi na szalę użycia i zadowolenia miłości własnej.

O ile nie zdołała zatracić krytycyzmu, potrafi uświadomić sobie chwilę przełomową i zwolna, choćby przez dumę i miłość własną wycofa się i zrekonstruuje swoją rolę. Jeżeli jednak nie zdąży się ocknąć — zawezwie do pomocy sztukę. — Rezultat bardzo względny, a osiągnięta suma efektów nie będzie stała w żadnym stosunku do powiększających się wysiłków dla podtrzymania „młodości”.

Niestety, każde zebranie towarzyskie przynosi jej szpilkowe upokorzenia, zawody i rozczarowania, skrętnie przed sobą tajone. Gorycz i bezsilne szamotanie się z nieuchwytnym wrogiem poczynają żłobić bruzdy w jej wnętrzu, zniekształcać jej charakter.

Nie szczędząc nikogo prawo wieku, nie uznaje prologat i brutalnie, lub z całą powolną perfidią wyrzuca każdą jednostkę poza linię bojową.

Ale ona nie uznaje i uznać nie chce tej przemocy nad sobą, protestuje i — powraca chyłkiem z zasobem świecideł i szychu. Pochlebstwem i frazesami broni kurczowo i z rozpaczliwym wysiłkiem swej pierwotnej pozycji. Ile przymusu, przebiegłości i karkołomnych sztuczek leży za kulisami owego dramatu — o tem wie tylko ona sama!

Z dawnych, świeżych i rozkosznych ust wysuwa się żądło zatrute jadem zazdrości. A wszystko to dla nasycenia fałszywej dumy i — miłości własnej, źle pojętej. Cały ten herkulesowy wysiłek poniesiony w ofierze dla kapryśnej chimery, która ją odrząca.

Nie zapominajmy, że aktorzy, grający na scenie życia, nie pamiętają swoich minionych, choćby sławnych poprzedników; trzeba być nowym, zawsze nowym, by zdo-



bywać poklask i uznanie, zaś wyjątkowo wybitnym, aby przejść do historii jak Ninon Lenclos, lub podobnie!

A teraz przejdźmy do stron dodatnich, jakie nam daje dobrowolne ustąpienie z zaczarowanego lata młodości, gdy sam na sam powiemy sobie: „już czas na rnie”.

Pozornie nic się nie zmienia; wystarczającą dla nas staje się nasza świadomość, ten najczulszy seismograf. Tak bardzo zależnym jest ton naszego postępowania od zajmowanego stanowiska, temperamentu i usposobienia. Każda z nas, gdy spojrzy oko w oko swego pseudo-wroga wieku, ujrzy w jego głębi pogodne i jasne dni, w których odnajdzie całe światy dotychczas zaniedbane z powodu chaosu i nadmiaru wrażeń, zbieranych w przelotnej gorączce.

Spróbujmy! Nie taki ten djabeł straszny — a jeżeli straszny, to w każdym razie dość interesujący, aby mu się przypatrzyć.

A czyż nie jest ważnym plusem ta bezpretensjonalna, niczem nie krępowana szczerłość w stosunku do przedstawicieli młodości, ten spokój i zainteresowanie z jakim w roli widza wchodzimy do każdego środowiska, nie lękając się „tła niekorzystnego”? — Ta możliwość obiektywnego przyglądania się ze spokojnego brzegu pieniącym się nurtom górskiej rzeki?

Uśmiech radosny, westchnienia ulgi: — nic mi już z tej strony nie grozi! piłam, znam twój smak, dzisiaj pragnę czego innego. Uderzasz nadto do głowy, ty najupojniejszy z trunków!

I znowu uczucie, że oto odrzuciłam ciężar przymusowego, sztucznego podniecenia i całego aparatu koniecznego do walki z rywalizacją. Oddycha się swobodnie, a uśmiech pełen wyrozumiałości i pobjaźania jest stałym towarzyszem.

To dla nas. A dla drugich?

Oto spostrzegamy bardzo szybko, iż stałyśmy się stokroć więcej pożądane jako te, które stanęły po za linią konkurencji. W tej nowej kreacji — wszystkie to przyznac musimy, leży wdzięk wielki, wytworna prostota i — szacunek dla samej siebie! Świadomie stłumiona próżność nie tylko w oczach własnych, ale musi podnieść i w oczach obcych.

Gdy po obliczeniu się ze sobą i warunkami, przyniesionymi na świat, wypadną nam minusy — mamy czas naprawić szkody i skarbiec dorobku wzbogacić.

W momentach spoczynku, w naszym pokoju, podniósłszy głowę z poduszek kołki, ogarniamy wzrokiem zaciszny kącik, który się nam dzisiaj jakoś inaczej przedstawia, piękniej i bardziej przytulnie, a cała tajemnica tej zmiany to fakt, że przebywamy w nim więcej, niż dotychczas.

Dziennik wypada z dłoni: oto karnawał minął. Jakżeż innym on się wydawał rok temu?... Wraz z wyrzeczeniem się jego pojęć, zabaw i odurzenia, odpadły także i troski, niepokoje i następne nieodzowne znużenie. A oto stanęłyśmy na progu sali balowej, skinęły głową na pożegnanie: — bawcie się dobrze, ja do domu wracam, a powrócę w innej już roli.

Nie, nie lękam się ciebie Jutro, czekam długich pogodnych dni i szarych godzin. Ave, jesieni złocista, bogata i świadoma swych celów!

\* \* \*

Dzieląc pomiędzy czytelniczki moje spostrzeżenia, ograniczałam się do bardzo pobieżnego traktowania tego rozległego tematu, uważając go jedynie za punkt zaczepny, z którego wypływa cały szereg niezmiernie ważnych zagadnień w życiu praktycznym.

N. p. czy i jakie pojęcie miłości ma rację bytu w życiu kobiet, przestępujących porę lata i czy wolno ją zapoczątkowywać na nowo? Jeżeli takie i podobne refleksje zainteresują czytelniczki — pozwolę je sobie omawiać jeszcze w najbliższym czasie. W. W. S.





## PRASOWANIE BIELIZNY

Natychmiast po zmaglowaniu bielizny przystąpić powinniśmy do jej prasowania, aby nie straciła ułatwiającej tę czynność wilgoci. Prasowanie wymaga bardzo starannych przygotowań i niezbędnych przyborów. Równy, szeroki, czysty stół, deska opięta suknaem, deseczka podwójna do rękawów i porcelanowa miseczka z wodą, gąbka do zwilżania bielizny, czysty gałganek do zmywania plam w razie przypalenia, prasownik biały, dość cienki do nakrycia deski, stare prześcieradło do rozłożenia pod deską i żelazka z podstawkami.

Do sztywnej bielizny najlepsze są żelazka stalowe zaokrąglone na końcu, z duszami kutem, nie lane, do gładkiej na wsiach i w domach, gdzie niema gazu ani elektryczności, najpraktyczniejsze i najekonomiczniejsze okazały się żelaza ogrzewane węglami gaszonymi z twardego drzewa, węgle wypadają bowiem dużo taniej niż umyślnie palenie pod kuchnią dla grzania dusz. Gdzie jest gaz, lub elektryczność najczystsze i najprędsze jest prasowanie zastoso-  
wanem do nich żelazkami. Robota idzie sprawnie, bez straty czasu na zmianę dusz, rozgrzewanie lub chłodzenie żelaza, albo też rozżarzanie węgla.

Żelazka spirytusowe bardzo wygodne w drodze, poza nią nie mają praktycznego zastosowania.

Przed rozpoczęciem prasowania, trzeba starannie oczyścić popiołem żelazka, a jeszcze lepiej papierem szmerglowym, natrzeć je potem płótnem nawoskowanym, którą to czynność, w czasie prasowania od czasu do czasu powtarzać należy, dla nadania połysku bieliźnie i uchronienia żelazka od przylepiania się do niej i ściągania z niej krochmalu. Takie płótno przyrządza się jak następuje: w złożony w kilkoro płócienny gałganek wielkości chustki od nosa, wkłada się w środek kawałek białego wosku i tą chustką pociera się co jakiś czas żelazo rozgrzane. Żelazka powinny być trzymane w suchym miejscu, aby nie rdzewiały, po prasowaniu dusze i węgle natychmiast wyrzucone, żeby się nie przepalały, kontakt elektryczny wyjęty. Bieliznę gładką jak poszewki, prześcieradła, obrusy, prasuje się na stole nakrytym wołokiem, który przykrywa się prasownikiem, na zbyt miękkim podłożu źle się prasuje, natomiast spodniczki, suknie, bluzki, a nawet i koszule damskie prasuje

się na desce grabowej półtora metra długiej, około pół metra szerokiej. Prasować powinno się w miejscu przewiewnem w lecie przy otwartem oknie, gdyż wydzielająca się z bielizny para bardzo jest dla zdrowia szkodliwa.

Zaczynając prasować, trzeba równo rozciągnąć każdą sztukę bielizny, miejsca załamane w maglu zwilżyć lekko gąbką i prasować, zaczynając od obrębów. Jeżeli przez nieuwagę przyżółci się zbyt gorącym żelazem bieliznę, natychmiast zmyć plamę czystym gałganem, umaczanym w wodzie z boraksem. Jeżeli bielizna starannie umaglowana wystarczy lekko posuwać po niej gorące żelazko, wszelkie hafty, koronki, znaki i monogramy zwilża się gąbką, umaczaną w czystej lub ze lśniącego krochmalu przygotowanej wodzie (na 1 litr wody łyżka krochmalu) i wyciska po lewej stronie końcem żelazka na bardzo miękkim podkładzie. Chustki, serwety, ręczniki prasuje się z prawej, zawsze znaki wyciskając z lewej strony.

Ręczniki składa się wzdłuż na trzy części, chustki i serwetki w kwadrat, zawsze uważając żeby znaki były na wierzchu. Przy serwetkach z frędzelkami mało już dziś używanych, trzeba zebrawszy brzegi serwetki w rękę, uderzać niemi o kant stołu, aby się frędzelka rozsypała, a następnie delikatnie rozczesać ją grzebieniem. Poszewki prasuje się po obydwóch stronach i składa na trzy części, prześcieradła można prasować tak,

jak były do magla złożone wzdłuż, a następnie składać na cztery części. Obrusy muszą być prasowane całe, stosownie do ich wielkości składa się je potrójnie lub poczwórnie, bacząc by monogramy były na wierzchu.

U damskich koszul prasuje się naprzód hafty i koronki po lewej stronie, potem całe, najzgrabniej wyglądają zaprasowane wzdłuż w dwie kontrafałdy z przodu i z tyłu, a potem złożone na trzy części.

U majtek i fartuszków prasuje się naprzód paski i tasiemki, później hafty i falbany, a w końcu całą długą.

Batysty i haftowane suknie i bluzki po skropieniu i odłożeniu prasuje się po lewej stronie, rękawy koniecznie na specjalnej podwójnej deseczce, aby nigdzie nie załamać, a będą jak nowe.

O prasowaniu sztywnej męskiej bielizny dałam wyczerpujące wskazówki w jednym z pierwszych, tegorocznych numerów *Bluszcza*, ponieważ sztywna bielizna mało obecnie jest używana, a zagranicą próbują nawet wprowadzić do wieczorowego męskiego ubrania miękkie białe jedwabne koszule, nie będą się powtarzała, dam tylko niezawodny przepis na przygotowanie krochmalu do nacierania gorzów i drobiazgów: pół kilo najlepszego ryżowego krochmalu i ośm deka boraksu, namoczyć w małej ilości wody, rozetrzeć na porcelanowej misce łyżką drewnianą tak, aby grudek nie było. Rozdzielić tę masę na dwie równe części. Wstawić w czystym rondlu 2 litry wody, gdy się zagotuje wrzucić w nią kawałek stearyny i jedno deka, rozpuszczonej w szklance wody, gumy tragaut (kupuje się w składzie aptecznym). Do wrzącej wody wlać połowę rozproszanego przedtem krochmalu i ciągle mieszając, gotować minut 15. Wylać na czystą, szeroką miskę i wystudzić. Jak będzie zimny, wymieszać go z drugą połową rozartego, surowego krochmalu, uważając bardzo, aby gotowany był zupełnie zimny, inaczej bowiem surowy też się ugotuje, rozcierać dopóki nie utworzy się śnieżna masa, którą naciera się każdą sztukę, zawija w czysty płócienny gałganek i zaraz prasuje, koniecznie nie stalowem żelazkiem.

Tak przyrządzony krochmal nigdy się nie wałkuje, nie przylepia do żelazka i nadaje bieliźnie sztywność i połysk.

J. S.





## JESZCZE O SUSZENIU OWOCÓW

Jeżeli pozwalam sobie tej jesieni jeszcze wrócić do tematu suszenia owoców, to dlatego tylko, że na kursach przetworów owocowych profesorów Iwanowskiego i Merynga, zebrałam garść praktycznych wskazówek, które mi rada podzielię się z Czytelniczkami „Bluszczu”.

Przed paru tygodniami pisałam dużo, przeważnie nawet o brakach naszych krajowych suszów w przeciwstawieniu do owoców kalifornijskich, które teraz, niestety, nie tylko będą z racji podwyższonych cel wwozowych bardzo drogie, a których ze względów patriotycznych używać jaknajmniej należy.

Otóż całe szeregi tych wciąż spotykanych braków można łatwo usunąć zapomocą używania odpowiednich przyrządów i odpowiedniego obchodzenia się z surowcem, susz nasz krajowy przeważnie jest ciemny, twardy, trudno się rozgotowujący i mający (śliwki szczególnie) często cierpkość i zapach dymu. Susz otrzymany przy zajęciach praktycznych w szkole pomologicznej, był biały, miękki i miał bardzo przyjemny smak — można go było jeść przed ugotowaniem jeszcze — gruszki szczególnie, były znacznie bielsze nawet od kalifornijskich.

Wszystkie metody stosowane przy wyrobie suszu dzieliły się na dwie grupy, jedna — stosowana do przemysłowego, na wielką skalę, wyrobu suszu, druga — do suszenia owoców na użytek domowy — właściwie nawet źle mówię — gdyż każdy sposób fabryczny, panowie prelegenci od razu stosowali do potrzeb domowych i każdy duży, kosztowny przyrząd wskazywali czem zastąpić w gospodarstwie domowym.

Otóż naprzód demonstrowano cały szereg przyrządów do mechanicznego obierania i krajania owoców. Więc naprzód obieracze, większy „Unicum” i mniejszy „Dandy”, które nie tylko delikatnie i równo zdejmują skórę z owocu, lecz i krajają go na spiralne, równe plastry, pozostaje tylko taki owoc przekrajać nożem i ma się śliczne, równe talarki przekrajane na pół. Do osuszania gniazd nasiennych jest też specjalny przyrząd w rodzaju tych maszynek, co się używa przy drelowaniu wisien. Przy mniejszym obieraczu, który nie kraje jabłek, stosuje się krajacz schodowy Maifartha. Wszystkie te narzędzia są do nabycia w Warszawie u Ulrycha, Kłobukowskiego i innych. Są one, niestety, wszystkie wyrobu niemieckiego. Również

dobre, analogiczne narzędzia wyrobiła firma francuska „Navarre & fils” Paris — ktoby chciał sobie takie narzędzia sprowadzić, winien się zwrócić do tej firmy — najlepiej może byłoby to wykonać zbiorowo.

Śliwek się nie dreluje przed suszeniem, tylko wtedy, kiedy są już dobrze zwiędłe, miękkie wprowadzić w środku, lecz już bez soku, wyciska się z nich pestkę, która zwykle łatwo wyskakuje. Można to dla pośpiechu wykonywać za pomocą zwykłej wyżymaczki do bielizny, odpowiednio nastawionej, śliwka jest przytem zlekka spłaszczona, co jej daje ładny wygląd i jest dogodnym przy pakowaniu.

Gruszek się nie kraje w plastry, tylko suszy mniejsze w całości większe przekrajane na połówki lub ćwiartki.

Chcąc, aby jabłka pozostały białe, należy je natychmiast po obraniu siarkować, co można skutecznie bez specjalnych przyrządów w zwykłej skrzyni z listwami, na których się ustawia sito z jabłkami, pod nimi zapala na podstawce metalowej kawałek siarki, skrzynie przykrywa wiekiem i pozostawia tak kilkanaście minut.

Przy zajęciach praktycznych nie siarkowano jabłek, lecz ułożono je natychmiast po obraniu na sito i wstawiono od razu do naogórszej kondygnacji suszarni, dopiero gdy dobrze obeschły, przeniesiono je dla dosuszenia na wyższą kondygnację — zachowały śliczny, zupełnie biały kolor.

Jabłka do suszenia należy używać tylko kwaskowych gatunków — jabłka słodkie i po ususzeniu zachowują swą niemiłą właściwość, — nie rozgotowują się, zostają w gotowaniu twarde.

Gruszki można suszyć wszelkich gatunków, oczywiście lepsze słodsze, soczystsze owoce dają susz wykwintniejszy. Gruszki obrane wrzuca się natychmiast do wody zakwaszonej solą cytrynową (kwaszkiem), poczem się je blanzetuje we wrzącej wodzie, aż do chwili, kiedy się łatwo dadzą przebić patyczkiem. Aby wszystkie gruszki były jednakowo zblanzetowane, t.j. jedna nie pozostała twarda a inne nie rozmiękły zupełnie, układa się je do kosza o długim pałeczku i zanurza wraz z tym koszem w kotle z wrzątkiem, trzyma kilka minut, wciąż koszem potrząsając, aby się równo parzyły, — gdy po próbie patyczkiem mają dosyć, wyjmują się je, układa równo na sitach i zaraz daje do suszarni.

W taki sposób traktowane gruszki, po ususzeniu dają susz bielszy od amerykańskiego.

Ze śliwek do suszenia najodpowiedniejsze są Fellembergi, we Francji w tym celu są używane „Robe de sergent” i „prune d'Agent.” Śliwki w koszach zanurza się w gorącym 10% ługu potasowym na 30 sekund. Skórka na nich przez to pęka i schną prędzej. Można je jednak suszyć i bez tego zabiegu, trwa to jednak dłużej, gdyż maczanie w ługu potasowym rozpuszcza ciekłą powłokę wosku, pokrywającą każdą śliwkę i przeszkadzającą parowaniu wody wewnętrznej.

Chcąc aby śliwki po ususzeniu miały ładny połysk, przypusza się je lekko cukrem i wsuwa na parę minut do bardzo gorącej suszarni, która ten cukier rozpuszcza. Można ten sam rezultat otrzymać, ogrzewając śliwki bez cukru do takiego stopnia, aby rozpuścić na nich cukier, wypocony przy suszeniu.

Suszarnie, które używano przy zajęciach praktycznych, były wyrobu niemieckiego, Geisenheimskie, o dwunastu podwójnych sitach, opalane węglem, i mające przyrząd do automatycznego podnoszenia sit, co umożliwia ich wyjmowanie kolejne i przenoszenie na wyższe lub niższe kondygnacje. Suszarnia ta zaopatrzona jest w termometr chemiczny, dla kontroli temperatury, — najwyższa temperatura dopuszczalna przy suszeniu jest 100° — przy glazurowaniu śliwek (rozpuszczanie wypoconego cukru) 110°. Przed wojną taka suszarnia kosztowała około 130 rs., ile kosztuje obecnie, nie powiedziano nam. Zdaje mi się, że podobną suszarnię można urządzić na wsi, przy pomocy zwykłego kowala, chodzi tylko o dokładne obejrzenie modeli a przecież owoców w większej ilości w miastach prywatne osoby nie suszą, a duże fabryki mają odpowiednie, większe urządzenia. Najpoważniejszą rzeczą w takiej suszarni, jest to, aby miała ona odpowiedni ciąg i wentylację, aby suszyła owoc, a nie parzyła go tylko, w tym celu należy ją zaopatrzyć u góry w duży daszek z kominem wyciągowym, wyprowadzonym na strych lub nawet ponad dach.

Chcąc suszyć owoce na użytek domowy pod blachą, należy się zaopatrzyć w parę sit metalowych na podstawkach, lub gęsto podziurawione blachy. Nie powinny one dochodzić do końca piecyka, tylko



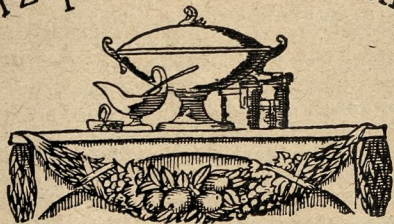
pozostawić w końcu pustą przest-  
rzeń na pół dłoni, aby gorące po-  
wietrze mogło krążyć.

Owoce układa się na takie sito  
lub blachy, wstawia pod piec,  
drzwiczek od pieca nie zamyka  
szczelnie, tylko je związuje drutem  
lub sznurkiem, tak, aby powstał  
otwór na pół dłoni, poczem się  
suszy owoce przy zwykłym goto-  
waniu, kontrolując ciepło tak, aby  
owoc usychał stopniowo, a nie  
piekł się i nie usychał gwałtownie,  
odrazu.

Jak przy suszeniu w suszarni, tak  
i w piecu, należy uważać, aby sita  
nie były przeładowane i w ciągu  
suszenia należy owoc poprzekładać,  
gdyż pośrodku sita i po jego brze-  
gach schnie niejednakowo—najbar-  
dziej to widać na suszarnianych  
sitchach podwójnych, gdzie dolne sito  
ma wklęsłość. Tam gdzie owoc  
jest w dwa rzędy, schnie o poło-  
wę wolniej. W pełnym działaniu  
suszarni jabłka potrzebują 3 godzi-  
ny do uschnięcia, gruszki 6—7 godz.,  
śliwki nie preparowane ługiem po-  
tasowym 36 godzin.

Dzieląc się memi wrażeniami  
z kursu przetworów owocowych,  
nie sądzę wcale, abym Paniom wiele  
wiadomości z tej dziedziny dać mo-  
gła — sama ich minimalnie mało  
posiadając. Może jednak niektóre  
z Czytelniczek coś niecoś z prak-  
tycznych wskazówek już teraz za-  
stosują, na przykład blanszowanie  
gruszek, siarkowanie jabłek, susze-  
nie pod blachą i t. p. Wszystkie  
zaś Panie, chcące prowadzić suszar-  
nie na większą skalę, gorąco nama-  
wiam do przesłuchania takiego kur-  
su przyszłej jesieni. [Pani Elżbieta

## Przepisy gospodarskie



### PIKLE Z KALAFJORÓW.

Należy na nie używać ładnych,  
białych, ścisłych i nieprzemarznię-  
tych główek, — przemarznięty kafa-  
fior jest na konserwę zupełnie nie-  
zdatny. Podzielić kalafior na kwiat-  
ki, wrzucić na osolony wrzątek dla  
zblanszowania. Jak tylko raz się  
zagotuje, odlać wszystkie razem na  
sito. Przy robieniu wszelkich kon-  
serwów gotowanych należy zachowy-  
wać tę ostrożność, gdyż przy  
wybieraniu częściowo durszłakową  
łyżką, zawsze, część jarzyn, czy

DR. MED.

**J. ŚWITALSKA**

Choroby skórne, kosmetyka,  
wener.

Wyłącznie dla kobiet od 5—7.

KRUCZA Nr 31, mieszkania 3.

Telefon 102 77.

owoców będzie mniej, inna więcej  
ugotowana. Można też mieć spe-  
cjalny koszyczek druciany, zastoso-  
wany do rozmiaru któregoś rondla,  
jarzyny czy owoce pogrąża się we  
wrzątku w tym koszyczku i razem  
z nim wyjmuje. Taki koszyczek od-  
daje też usługi przy smażeniu na  
fryturze kartofli, pasztecików dro-  
żdżowych, drobnych rybek i t. p.  
Kalafjory zupełnie ostudzone skła-  
da się w słoje i zalewa dobrym  
octem, przegotowanym z pieprzem,  
zielem, goździkami i kawałkiem im-  
biru. Po 24 godzinach ocet się zle-  
wa, o ile bardzo odwodniał, doda-  
je się doń mocniejszego, zagoto-  
wuje powtórnie i znowu zimnym  
dopiero zalewa kalafjory. Zabieg  
ten można powtórzyć do trzech  
razy. Po raz ostatni dodaje się do  
octu, dla złagodzenia smaku, na  
litr jego dwie łyżki stołowe cukru  
i na wrzący ocet wrzucić kalafjory.  
Po zagotowaniu raz, kalafjory się  
odcedzi na sito i po ostudzeniu  
dopiero składa w słoje. Do gorą-  
cego octu dodaje się na litr jedną  
pastylkę benzoesu, rozpuszczoną  
w łyżce gotowanej wody, zupełnie  
przestudzonym octem zalewa się  
kalafjory i słoje obwiązuje perga-  
minem.

Na liczne pytania odpowiadam,  
że „benzoesu sodu“ jest środkiem  
silnie konserwującym, w niedużej  
ilości absolutnie nieszkodliwym, na-  
uczyli jego użycia Niemcy w czasie  
okupacji. Obecnie jest wyrabiany  
w kraju, — niestety jednak i dotąd  
zagraniczny jest o wiele lepszy.  
Można go nabyć we wszystkich  
drogerjach i składach aptecznych.

### SZALOTKI W OCCIE.

Właściwie na konserwy używać  
należy cebulek perłowych, które  
są raczej do porów niż do cebuli  
zbliżone, wobec jednak tego, że na  
targach warszawskich tych perłó-  
wek wcale niema, musimy się kon-  
tentować zwykłą sianą cebulką,  
dymką zwaną. Otóż takie cebulki  
obrane delikatnie z cienkiej łup-  
pink wrzuca się na osolony wrzą-

tek i zagotowuje gwałtownie, (wol-  
no gotowane nadto by zmiękły  
i stały się nie do użycia)—poczem  
wylać je odrazu na durszłak lub  
przetak, aby wszystkie były jedna-  
kowo zblanszerowane. — powinny być  
nawpół miękkie. Ugotować mocne-  
go octu z pieprzem w ziarnach,  
zielem, listkiem, kilku goździkami,  
na litr octu dodać łyżkę cukru,  
ocet zastudzić i zimnym zalać  
poukładane w małe słoiki cebulki.  
Po trzech dniach ocet zlać, prze-  
gotować ponownie, na litr octu do-  
dać pastylkę benzoesu, rozpuszczo-  
ną w łyżce gotowanej wody, ostu-  
dzonym octem zalać cebulki, słoiki  
zawiazać pergaminem. Szalotki ta-  
kie są używane do ostrych, rumia-  
nych sosów, do garniowania śle-  
dzi i zimnych sałat i ryb, i same  
przez się stanowią wyborną prze-  
kaskę do wódki.

### PIKLE Z ZIELONYCH POMIDORÓW.

Najdrobniejsze, zupełnie twarde  
i zielone pomidorki, które w żad-  
nym razie, w najlepszej cieplarni  
dojśćby nie mogły, starannie prze-  
brać, aby nie było między nimi,  
nadgniłych i mających małe, ciem-  
ne plamki, gdyż jedno i drugie da-  
je konserwie wstrętną gorycz.

Mocny ocet zagotować z pie-  
przem, listkiem, zielem i paroma  
goździkami, ostudzić i zalać nim  
ułożone w porcelanowym naczyniu  
pomidory. Kto lubi może te pomi-  
dory wilgą posolić, poczem sól  
odlać, pomidory dobrze otrzeć sta-  
rem płótnem i dopiero potem za-  
lać octem, solenie to jednak nie  
jest koniecznie potrzebne. Po dwóch  
dniach ocet zlać należy, przegoto-  
wać ponownie i już letnim zalać  
pomidory. Po dwóch następnych  
dniach ocet się jeszcze raz zlewa,  
dodaje, dla złagodzenia smaku, na  
litr octu dwie łyżki stołowe cukru,  
skórkę z pół cytryny, (tylko samą  
żółtą warstwę) pokrajaną w paski,  
na wrzący ocet wrzucić pomidory,  
zagotować raz tylko. natychmiast  
scedzić na sito i dać im wystyg-  
nąć. Do gorącego octu dodaje się  
na każdy litr jedną pastylkę ben-  
zoesu, rozpuszczoną w gotowanej  
wodzie. Gdy pomidory ostygną ukła-  
da się je w słoiki i zalewa zimnym  
octem.

Pani Elżbieta.

### DOBRE RADY

☞ Aby nalepić na b'at od stołu  
sukno, skórę lub ceratę, robi się  
kajster z 2½ kilo mąki pszennej, 2 ły-  
żek kalafonji i 1 łyżki sproszko-  
wanego ałunu, rozrabia wodą na  
jednolitą, niezbyt gęstą masę —



przelewa do rondelka i ogrzewa mieszając ciągle, aby żadnych grudek nie było. Gdy masa stężeje tak, że wstawiona w nią pionowo drewniana łopatką utrzyma się w tej pozycji, składa się klajster do blaszanego szczelnie zamkniętego pudełka. Używając, posmarować równo, a niezbyt grubo drewniany blat od stołu, nałożyć materiał, mocno przycisnąć i wygładzić za pomocą wałka. Jak wyschnie obcina się brzegi ostrym nożem podług linii. Skórę lub ceratę trzeba naprzód zwilżyć — posmarować klajstrem i przyłożyć do drzewa, wygładzając czystą ścierką.

## Korespondencje działu praktycznego

Pani Kl. w Czerniejowie.

Najlepszym sposobem osuszenia mieszkania — jest bezwzględnie ogrzewanie go dzień i noc zapomocą żelaznych lub naftowych piecyków, przy równoczesnem otwieraniu okien. Dodatkowo rozstawia się tu i owdzie miseczki napełnione potażem, który wciągając wilgoć, rozpuszcza się. Tę czynność należy powtarzać kilkakrotnie — wygotowując za każdym razem potaż i dosypując świeżego, po kilku dniach mieszkanie powinno się osuszyć. Mole już zagnieżdżone w meblach i rzeczach — wytrącić tylko można starannem, prawie nieustającym trzepaniem i czyszczeniem. Pianino wytrzeć wewnątrz kamforą rozpuszczoną w terpentynie, wykadzić gałązkami bzu. Z zewnątrz poplamiony przez muchy blat zetrzeć sokiem z tartej cebuli, wyciśniętej przez muslin — następnie nacierać miękkim gałgankiem spirytusem ( $\frac{3}{4}$  spir.  $\frac{1}{4}$  oliwy), zmieszanym z oliwą.

O ile Sz. Pani miałaby zbyt na masło zapewniony, interes mleczny powinien się powieść, szczególnie jeżeli będzie dokładnie i rachunkowo przez Panią samą prowadzony. Radziłabym przed rozpoczęciem znaleźć odbiorcę na masło, śmietankę lub kwaśną śmietanę. Skalkulować ceny — przekonać się czy w zimie przy tak małej odległości, nie najlepiej byłoby mleko dostarczać. To wszystko rozważywszy — śmiało zabrać się do pracy — a pewna jestem, że przy energii da doskonałe rezultaty. Nie wiem, jak pani zamierza skupować mleko — czy zakontraktować? Uprze-

dzam, że tak czy inaczej trzeba bardzo pilnować jego jakości — bo oszukują bardzo, podbierając część śmietanki, lub poprostu dolewając wody — albo i jedno i drugie.

*Helence.*

Zimną kolację daje się nawet na dużych przyjęciach wtedy, gdy mieszkanie jest zbyt małe, aby wszyscy goście mogli usiąść do stołu. Talerze, noże i widelce powinny być ustawione na stole w kilku miejscach, aby każdy i z każdej strony miał do nich łatwy dostęp.

Obrus koniecznie biały, kolorowe serwety daje się tylko do pierwszego śniadania, lub podwieczorku. W jednym z ostatnich numerów „Bluszczu” zeszłego roku dawaliśmy dokładne menu takiej kolacji. Jako stała prenumeratorka łatwo Pani ten numer odszuka.

## Opis sukien i robót do Nr. 46

882. Suknia balowa z różowej tafty, przybrana szenszylami i haftem z paciorków.

883. Suknia balowa z ciemno-fioletowego aksamitu, przybrana złotem.

884. Suknia z rudo-brązowej popeliny, przybrana ciemniejszym aksamitem.

885. Sukienka dla dziewczynki od lat 5 do 7 z sukienki piaskowego i kraciastej wełny.

886. Sukienka dla dziewczynki od lat 6 do 9 z welwetu granatowego, przybrana rypsem.

887. Skromna suknia z wełny w prążki, przybrana jednokolorowym sukniem i guzikami.

888. Ślubna suknia z crêpe satin, przybrana koronką.

889. Ślubna suknia ze świecącej materii — welon z georgette'y.

890. Ślubna suknia z georgette'y, przybrana srebrnym haftem.

891. Szlafrok z miękkiego puszystego trykotu z jaśniejszym kołnierzem.

892. Szlafrok z deseniowej flaneli, wykończony wełnianą frendzlą.

893. Szlafrok z sukienka koloru pomidorowego. Kołnierz biały, haftowany.

894. Szlak na portjery. Haft kolorowy. Wielkość naturalna.

895. Wzór na poduszkę. Haft richelieu. Wielkość 28×38 ctm.

**UWAGA:** Powiększone wzory robót, umieszczonych w Dodatku Mód, można nabywać w Administracji „Bluszczu” po cenach następujących: obrus — makata — ekran zł. 2.50; poduszka — serwetka zł. 1.50; drobne desenie gr. 75.

Kroje modeli, umieszczonych w Dodatku Mód, dostarczamy w ciągu trzech dni po cenach następujących:

palto lub suknia fantazyjna . zł. 3.50  
suknia zwyczajna . . . . . 2.50  
bluzka . . . . . 2.00  
formy dzieciinne . . . . . 2.00  
bielizna . . . . . 1.50

## Nadesłane do Redakcji

(Za dział ten Redakcja nie odpowiada)

LABORATOIRE DES PARFUMS  
ET COSMETIQUES

## „PERFECTION“

Varsovie, Szpitalna 10.

Tel. 124-94.

Z DZIEDZINY KOSMETYKI.

*Wybrednej.* Odświeża powietrze w pokoju najlepiej *Sachet Eucapinol*. 3–4 krążki położone w różnych miejscach pokoju, utrzymują zapach przez 1–2 dni, zbyteczne więc jest rozpylanie, szczególnie, że ta woda leśna jak i kolońska, ulatnia się szybko, a *Sachet Eucapinol* wydzielają zapach przez czas dłuższy. *Pudełko Sachet Eucapinol* zawiera 60 krążków i służy na czas dłuższy.

*P, Helenie K.* Wodę zmiękczać, dodając 1 łyżeczkę proszku *La Mollette* na  $1\frac{1}{2}$ –2 litry wody. Chcąc nadać cerze matową białłość, dodawać do wody 1 łyżeczkę płynu *Abarid* i myć się nie mydłem, ale *Otrąbkami Abaridowemi*. Jeżeli proces wybielenia pragnie pani przyspieszyć, to po umyciu twarzy i natarciu *Kremem Abaridowym* dobrze przypudrować pyłkiem *Juvenia Candida*. Naturalnie stosować to na noc. Na dzień pudrować pudrem *Abarid*, pod który można używać tak kremu *Abaridowego*, jak i *Goldkremu płynnego Abaridowego*, który również wciera się do sucha i jest bardzo przyjemny w użyciu.

*M-me Ercedes.*

\* \* \*

WAŻNE DLA PAŃ CZYTELNICZEK  
„BLUSZCZU.”

Pamiętajcie Panie,

że wyroby mleczne Tow. Przemysłu Mleczarskiego Sokółów Podlaski, A. Zawadyński i S-ka, zasługują na specjalne wyróżnienie. Np. serki z czystej świeżej, gotowanej śmietanki pod nazwą *Demi Sel* — nie ustępują słynnym paryskim serkom *Gervais*; również serki *Camembert*, *Limburg*, *Roandour* tejsze firmy przewyższają co do dobroci wyroby paryskie. Nie potrzebuje również używać zagranicznej śmietanki i mleka sterylizowanego i homogenizowanego w puszkach, ponieważ wyżej wymienione Towarzystwo także je produkuje, jako też wyborowe sery *Edam* (holenderskie), podlaskie i tyłwckie. Wkrótce wypuszcza wymienione Towarzystwo także śmietankę sterylizowaną i homogenizowaną w butelkach.

W obecnym ciężkim przesileniu gospodarczym obowiązkiem każdej Polki jest popieranie wytwórczości rodzimej, zaś przetwory mleczne wyżej wymienionego Towarzystwa zasługują ze wszech miar na wyróżnienie. Zaopatrzone one są w etykiety z pasem ratunkowym.

W Warszawie zastępuje znana firma A. Smolka, Warszawa, Marszałkowska 149. Telefon 42-71.